Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 14 (1750) 5–11 kwietnia 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Kościelna operacja specjalna

str. 10

Izrael – państwo bandyckie

str. 11

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
14
9 770867 223409

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl b68685da26

WOJNA DOMOWA

Tydzień przyniósł niefortunną koincydencję kampanii wyborczej i Wielkiejnocy. Niefortunna okazała się zwłaszcza dla prezydenta Warszawy, który postanowił uwieść wyborców życzeniami wygłoszonymi z domowego, a nawet kuchennego zacisza. Na filmiku Trzaskowski siedzi przy stole kuchennym, w marynarce i koszuli z mankietami na spinki, a żona krząta się przy blacie, tyłem do kamery, choć nie cały czas. Kiedy Trzaskowski życzy „rewelacyjnego dyngusa", małżonka odwraca się i rzuca krytycznie: „Aleś wymyślił". „No tak, sąsiad nam zalał kuchnię parę dni temu" – wyjaśnia Trzaskowski. Taki żarcik, który dowodzi, że prezydent stolicy żyje tak samo jak my. Cały ten niewymuszony wdzięk poszedł na zmarnowanie, bo feministki się oburzyły na cokolwiek patriarchalny układ sceniczny. Trzaskowski rozsądnie nie próbował się kłócić, tylko usunął filmik i ogłosił, że „w biegu czasami popełnia się błędy". Ano.

Patriarchalna niezręczność może Trzaskowskiego sporo kosztować, albowiem sondaże wykazują, że tym razem nie musi wygrać w I turze. I, co gorsza, zagraża mu nie pisowski Tobiasz Bocheński, któremu badanie przeprowadzone na zlecenie TVP3 Warszawa – czyli telewizji rządowej – wywróżyło wynik jednocyfrowy, tylko Magdalena Biejat z lewicy (a precyzyjnie: z Razem). Wprawdzie sondaż ten daje Trzaskowskiemu 48 proc., a Biejat – 12 proc., ale tak, czy inaczej, dla polityka, który dostał 10 milionów głosów w wyborach na prezydenta RP, druga tura warszawska byłaby utarciem nosa. Towarzysze ze Stolicy! Zagłosujmy na Biejat! Dla zasady, bo platformersom i tak się w dupie przewraca.

Prokuratura wyśle listy polecone do 30 osób, które były inwigilowane Pegasusem. Tak, żeby to one mogły – ewentualnie – poinformować o tym opinię publiczną, co ma być dowodem poszanowania dla ich prywatności ze strony obecnej koalicji rządzącej w kontraście do poprzedniej. Jedną z osób, która taki list dostanie jest – donoszą media – Grzegorz Napieralski, były szef SLD, a obecnie poseł PO, który postanowił wydoić tę piarowską krowę do ostatniej kropli. „Czuję się strasznie, czuję się bardzo źle, czuję się obdarty z, tak naprawdę, największych moich wartości, moich praw" – szlochał do kamer. A my sobie myślimy, że p. Napieralski czuje się uszczęśliwiony faktem, że ktokolwiek uznał go za godnego podsłuchiwania. Facet, który jako lider lewicy dostał 14 proc. głosów w wyborach na prezydenta RP, ostatnio kandydował z siódmego miejsca na liście PO i zdobył 1,3 proc. głosów oddanych na tę listę. Smuteczek.

Izraelska armia celowo i z rozmysłem zamordowała siedmiu wolontariuszy dostarczających żywność do Strefy Gazy. W tym Polaka, co wzbudziło niejaką ekscytację polskich polityków – także tych, którzy dotychczas ludobójstwo w Gazie traktowali jako wewnętrzną sprawę Izraela. Niektórzy zdają się jednak nie dostrzegać istoty problemu. „Rodzina ma dostać od Państwa Izrael zadośćuczynienie. Prawo do obrony nie oznacza prawa do nieludzkiego bestialstwa. Koniec tematu" – pouczyła Anna Maria Żukowska, wiceprzewodnicząca polsko-izraelskiej grupy parlamentarnej. Także Andrzej Szejna, wiceszef MSZ z lewicy, mówił o odszkodowaniu: „Jeżeli nawet to było tragiczne, nieumyślne, to jest tak jak ktoś kogoś nieumyślnie potrąci samochodem – ponosi odpowiedzialność karną i materialną. Myślę, że premier Izraela powinien pomyśleć, kto powinien odpowiedzieć karnie za to, że nacisnął przycisk i w jaki sposób zadośćuczynić rodzinom ofiar". Nie było „nieumyślne" i kasą się tego nie załatwi. Tak wyjaśniamy, może ktoś z polityków lewicy przeczyta i zrozumie.

PiS uradowało się niepomiernie, że nowa władza przywróciła VAT na żywność, bo to dało mu okazję do złożenia własnego projektu, likwidującego VAT na żywność. Twarzą akcji został – a któż by inny – Mariusz Błaszczak, który z wyraźną ekscytacją ogłosił, iż „wprowadzenie VAT-u na żywność, na chleb, na mięso, na mleko to jest szczególne uderzenie w tych którzy są średniozamożni", a także „drenuje kieszenie średniozamożnych Polaków". Zastanowiło nas głęboko: czy PiS naprawdę uważa, że w Polsce nie ma już ludzi biednych, czy też może postanowił, że gadanie z biednymi jest już nietwarzowe i teraz będzie adresował swój przekaz do „średniozamożnych"? Proponujemy złoty środek pomiędzy tymi dwiema postawami: przekaz polityczny adresowany do „zamożnych inaczej".

Protestujący rolnicy rozpoczęli okupację ministerstwa rolnictwa. Domagają się osobistego spotkania z Donaldem Tuskiem, co oznacza, że zarówno minister Siekierski z PSL, jak i wiceminister Kołodziejczak z AgroUnii nie spełnili swojego zadania i pewnie polecą w najbliższej rekonstrukcji. Ich pozycję dodatkowo podkopuje Władysław Serafin, niegdysiejszy poseł PSL i odwieczny prezes Krajowego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych: „Dwukrotne spotkanie z premierem dawało wiarę i zaufanie, że premier wie, co z nami uzgodnił. Ja ciągle uważam, że premier wie, tylko, że nie wie tego, że oni tego nie wykonali". Kołodziejczak odpowiada: „Chyba nie ma w kraju człowieka, których jest lepiej zorientowany w nastrojach polskich rolników, w tym, co czują, jak się zachowują. Ja rozumiem to doskonale, ale rozumiem także słowa premiera Donalda Tuska, który powiedział, że mamy bardzo trudne czasy, a wręcz czasy przedwojenne". Sytuację Kołodziejczaka pogarsza fakt, iż internety dostrzegły, że nosi mokasyny od Gucciego za 3400 zł. A to o jakieś pięć dych drożej niż Tuskowe adidasy od Zegna.

AWŁ

Z URNY URBANA

Na marginesie wciąż żywych dyskusji o uchodźcach i imigrantach napływających do Polski z kierunku wschodniego przypominamy felieton Urbana z kwietnia 2008 r. o tzw. Karcie Polaka i staraniach Najjaśniejszej o odzyskanie mieszkających tam osób o polskich korzeniach.

Kenkarta Polaka

W graniczących z Polską byłych republikach radzieckich rozpoczynają się egzaminy z polskości dla tamtejszych obywateli. Tych, którzy pragną otrzymać Kartę Polaka, a co za tym idzie swobodny wjazd i prawo pracy w Polsce oraz inne pieszczoty. Jest to już czwarty w dziejach polski kulturkampf – akcja polonizacyjna na tych ziemiach. Pierwszą urządzono w XVII wieku. Objęła skutecznie około 5 proc. ruskiej prawosławnej ludności uczynionej polską szlachtą. Zakończyła tę katolizację i polonizację powtórna rusyfikacja dokonana przez carskie władze w XIX wieku.

Druga polonizacja prowadzona była metodami represji i przymusu w okresie międzywojennym XX wieku i dotyczyła obywateli II RP – Ukraińców i Białorusinów zamieszkujących tzw. kresy. Uwieńczyła ją rzeź pewnej liczby Polaków w trakcie II wojny światowej. Trzecia odbyła się w PRL pod kryptonimem „Akcja Wisła" i polegała na wysiedleniu Ukraińców i Łemków na Ziemie Zachodnie. Teraz zaczyna się czwarta polonizacja i polega na nadawaniu obcym obywatelom Karty Polaka. Spowoduje ona pseudopolonizację sporej rzeszy Ukraińców i Białorusinów odgrzebujących na siłę polskich przodków. Władze sąsiednich krajów z wyjątkiem Białorusi olewają etniczną ekspansję Polski. Świadczy to o słabnięciu w tych państwach nacjonalizmu i uczulenia na polskie próby kolonizacyjne.

Ustawa o nadawaniu Karty Polaka nie obejmuje dziwnym trafem obywateli niemieckich o polskich korzeniach, czyli volkspolaków. Wbrew logice Karty uznajemy ich bowiem za folksdojczów.

Przypuszczalnie ustawa o przyznawaniu Karty Polaka sprzeczna jest z polską konstytucją oraz różnymi kartami, paktami i umowami międzynarodowymi, w tym europejskimi, które Polska podpisała. Dokumenty te zakazują co prawda tylko dyskryminowania kogokolwiek ze względów etnicznych, ale można dowodzić, że uprzywilejowane traktowanie u nas części Ukraińców ze względu na ich polski rodowód powoduje tym samym gorsze traktowanie, czyli dyskryminowanie przez Polskę innych obywateli Ukrainy. Jakoś to nikogo nie razi i nie alarmuje.

Egzaminy na Polaka będą przeprowadzać konsulowie Pomrocznej badając związki z polskością cudzoziemców ubiegających się o kartę. Centralne Biuro Antykorupcyjne powinno natychmiast założyć delegatury w Wilnie, Lwowie, Grodnie, Mińsku, Brześciu, Kijowie. To oczywista oczywistość!

Prasa przytacza niektóre ze 150 pytań, jakie rozesłano do konsulów nakazując zadawanie ich delikwentom. Śpieszę podsunąć odpowiedzi, które może nie są poprawne politycznie, ale za to prawdziwe.

Pytanie: – W jaki sposób eleganccy Polacy witają się z kobietami?

Odpowiedź: – Hej! Jeśli zaś dana kobietka ma penisa: – Hej gej! Kobiety całują w rękę już tylko podpite chamy sadzące się na parafialną elegancję oraz prezydent Rzeczypospolitej Lech Kaczyński. Spośród osób w sukienkach łapy ślinić wypada jedynie biskupom.

– Co Polacy jedzą w tłusty czwartek?

Odpowiedź: – Suche dławiące, ale tłuste bułki polane lukrem ze słodzoną pulpą owocową w środku.

– Kim jest Wajda?

Odpowiedź: – Wyrażeniem „to taki Wajda" Polacy określają staruszków o wygórowanie dobrym samopoczuciu i fałszywej samoocenie.

– Którą z potraw można uznać za typowo polską: hot doga, soliankę czy bigos?

Odpowiedź: – Pizzę w mazi z ryżu rozsyłaną przez Chińczyka w kartonowym pudełku.

– Jak tradycyjnie ubiera się pan młody w dniu ślubu?

Odpowiedź: – W czarne ubranie z poliestru za 250 zł o klapach połyskujących od śladów typowo polskich potraw i płynów: pomidorowej, Coca-Coli i wiśniówki.

– Jak i kiedy tradycyjnie śpiewa się „Góralu czy ci nie żal"?

Odpowiedź: – Chórem po minimum pół litrze na głowę liczącą co najmniej 60 lat.

– Z jakich dań składa się tradycyjny obiad niedzielny?

Odpowiedź: – Odgrzane w mikrofali kurze udka w panierce firmy KFC popijane gorącym kubkiem firmy Knorr.

– Co należy czynić, jak chleb upadnie na stół?

Odpowiedź: – Opieprzyć kelnerkę (w domu matkę lub żonę), że nie sprząta zaświnionego stołu.

Konsulowie mają podobno tajną instrukcję nakazującą wydawanie wybranym bardzo Polakom Karty Prawdziwego Polaka. Przy egzaminie na KPP wyprzeć się trzeba Grossa i Darwina. Padać będą podstępne pytania np. „How are you?". Na co odpowiedzieć należy: „Zawsze dziewica", do czego po namyśle dobrze jest dodać: „Alleluja i do przodu".

Dobrze widziane będzie odśpiewanie pieśni patriotycznej a capella. Podajemy tekst wzorcowy: Szła dzieweczka do laseczka spotkała tam królewski ród piastowy. Jeszcze Polska nie zginęła mówi ojciec do swej Basi cały zapłakany. Hej chłopcy wraz Bogurodzica dziewica. Z dymem pożarów płonie ognisko i szumią knieje. Na stos rzuciliśmy swój życia los, na stos, na stos. Nie płacz dziewczyno ma – czerwone maki piją polską krew. Pije Kuba do Jakuba. Ponoć nasi biją w tarabany pod twe ołtarze zanosząc błaganie: siekiera, motyka, bimber, szklanka.

URBAN

Facebook

Bartek Orzeł: Teraz to już muszą nam dać zniżkę na aktualizację Pegasusa.
Eugeniusz Rezmer: Godnościom i kulturom osobistom.
Andrzej Bazylczuk: Wysłać Sasina z dobrymi wiadomościami.
Taki Michau: Wysłać polskie zapasy wieprzowiny.
Przemysław Tomaszewski: Może powinno się wystosować notę z przeprosinami, że Polak stanął na linii strzału?
PJ Lask: Może nie chcieli, przypadek, a jeśli już to tylko nastraszyć. Te tysiące dzieci też przypadkowo... No bo te przedszkola tak dużo i gęsto budują.
Bartek Orzeł: Przeprosić i wyrazić skruchę.
Jarosław Łski: Wysłać Szymona, on wgniecie w ziemię ich premiera.
Janusz Zapolny: Naród, który doświadczył okrucieństwa nie ma prawa do takich błędów.
Michał Chaszyński: I o to ofiara stała się katem. Proszę przestać się zasłaniać kwadratowym wąsem panie Benjamin. Bo i panu zaczyna kwadratowieć.
Piotrek Wojdyn: Dron Braun.

Forum

T00mann: וזה הרעהה תא ריאשמ ינא לבא, הז לע דיגהל המ יל ן יא
יירבחלו יתחפשמל התוא תוארהל לכואש ידכ ון תיעב הספדהל
(hebr.: „Nie mam nic do powiedzenia na ten temat, ale pozostawiam tę notatkę do wydrukowania w gazecie, abym mógł ją pokazać rodzinie i przyjaciołom" – red.)

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Robert Biedroń** zaprasza wszystkich z Warszawy i okolic do swojej ekipy biedronek. Biedronki powinny przynieść ze sobą zgodę podpisaną przez rodzica.
- **Rafał Trzaskowski** przeprosił za świąteczny spot z żoną przy garach. A nawet nóg mu nie umyła.
- **Zenon Martyniuk** zaśpiewał na weselu syna. Obyło się bez interwencji policji.
- W ramach primaaprilisowego żartu **Uniwersytet Wrocławski** zapowiedział budowę nowych akademików. Studenci płakali ze śmiechu.
- W rocznicę śmierci **Jana Pawła II** w Watykanie odbyła się msza i czuwanie. Trzeba Watykanowi przyznać, że nigdy nie nadużywa fajerwerków.
- **Papież Franciszek** zapowiedział, że jego pogrzeb będzie miał uproszczoną formę. Dół z wapnem będzie współgrał kolorystycznie.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl b68685da26

Strzelanie ślepakami w nierówność

Wojna płci 2024.

Kiedy kilka miesięcy temu posłanka Lewicy Katarzyna Kotula została wyznaczona na ministrę do spraw równego traktowania w rządzie Donalda Tuska, ucieszyli się praktycznie wszyscy z wyjątkiem prawicowych prątków. Po wielkim święcie demokracji, jakim było zutylizowanie rządów Zjednoczonej Prawicy, zapanowała atmosfera podobna do tej po śmierci papieża Polaka – ludzie padali sobie w ramiona z nadzieją na lepsze jutro. W narodzie tętniło braterstwo i chęć wyniesienia go na sztandary. Prędko się jednak okazało, że równość to drogowskaz moralny dla najbardziej naiwnych.

Ministerstwo równego napierdalania

Zdawałoby się, że – wśród mnogości palących problemów – szeroko pojęte równouprawnienie znajdzie się na szarym końcu spraw do odhaczenia przez nowy rząd. Nic bardziej mylnego. Społeczeństwo – na podobieństwo psa, który dorwał się do lizania jaj po uwolnieniu z przykrótkiego łańcucha – wyłożyło swoje postulaty w trybie pilnym. Na świeżo ściętej tafli pojednania międzyludzkiego pojawiły się nie tyle szczeliny, co rowy mariańskie pierwszych podziałów. Mitologiczne damsko-męskie yin-yang poszło się jebać i to bynajmniej nie w celach rekreacyjnych.

Tak jak posłanka Katarzyna Kotula nie wiedziała, w co wdeptuje, obejmując powierzony jej urząd, tak i naród genetycznie nienawykły do myślenia nie wiedział, czym się właściwie ów urząd zajmuje.

Premier Donald Tusk postanowił, że „Minister do Spraw Równości jest ministrem, który wykonuje zadania wyznaczone przez Prezesa Rady Ministrów". Tłumacząc z urzędowego na polski: ministra od równości nie kieruje żadnym działaniem administracji rządowej, wobec czego nie ma prawa do wydawania rozporządzeń. Co więcej, obsługę tego organu zapewnia kancelaria premiera; ministra Kotula nie posiada własnego ministerstwa. Ni w pół prącia ta wiadomość nie przebiła się do mainstreamu. Wyimaginowane „Ministerstwo Równości" od tej pory było równie często ośmieszane, co wywoływane do tablicy.

Ktokolwiek wpadł na pomysł, aby polskie społeczeństwo nazwać obywatelskim, powinien pokutnie się biczować w zatęchłych kazamatach. Powołanie rządowego przedstawicielstwa, które ma przeciwdziałać dyskryminacji, tylko zakręciło korbą i podniosło temperaturę pod kotłem nienawiści przeciwnych obozów. W festiwalu wzajemnych oskarżeń i metaforycznego (póki co) jebania prądem drugiej strony udział brał każdy, kto chciał, a chętnych nie brakowało. Spod płaszcza chwalebnych postulatów walki o wspólne dobro szybko zaczęły wystawać stare dobre straszydła mizoginii i mizoandrii. Tak, tak, w międzypłciowej napierdalance równouprawnienie akurat ma się dobrze. Obie strony zachowują się jakby miały 2,5 promila: walą na oślep, ile dała fabryka.

Tańcem i kotletem

Kiedy w połowie lutego posłanki i działaczki wykonały w sejmie taniec „Nazywam się miliard", będący symbolem niezgody na przemoc wobec kobiet, happening spotkał się z twardym wyrzygiem hejtu. Nie będzie żadnym zaskoczeniem, że głównie od męskiej publiczności. Na barykadzie stanęła posłanka Lewicy Anita Kucharska-Dziedzic. „Kobiety tańczą w Sejmie i manifestują, że ich ciała należą tylko do nich… Kobiety śmieją się głośno z nadętej i nabzdyczonej głupoty przekonanej o własnej omnipotencji… Kobiety przestały siedzieć w kącie cichutko i w przerażeniu, że ktoś im napisze w internecie, że są brzydkie, stare i grube, głupie szmaty i marzą o gwałcie" – napisała posłanka na portalu X. Na wpis zareagował internauta, autor konta Społeczny Rzecznik Praw Mężczyzn. „Ciała mężczyzn natomiast należą do państwa, które może je wysłać na konflikt zbrojny narażając na uszkodzenie lub zniszczenie. Równouprawnienie, czego nie rozumiesz?" – napisał w odpowiedzi.

„Drogi żołnierzu, wysyłają Cię na wojnę. Straszne? Ale w nagrodę możesz sobie pogwałcić. Społeczny rzeczniku praw mężczyzn – aż sobie zeskrinowałam Twoje uzasadnienie gwałtów wojennych" – odjebała na odlew posłanka. Oj, Boże nieistniejący, zaciekłość to panierka do schabu polskiej ziemi. W dodatku niesmaczna.

Przypadający ósmego marca Międzynarodowy Dzień Kobiet stał się maratonem płodności antyfeministycznej. Poklask moszen niósł się echem po najdziwniejszych zakątkach internetu. Swoje trzy grosze dorzucił np. portal Rynek Kolejowy. „PKP Intercity oszczędza na posiłkach dla konduktorów – wydaje je tylko kobietom, bo tylko tego wymaga prawo" – napisano z pozoru niewinnie w ciuchciowym serwisie. Tekst pochodził ze stycznia, ale marcowe święto odgrzało kotleta do czerwoności. Na facebookowym profilu Rynku Kolejowego w komentarzach pod artykułem ministrę Katarzynę Kotulę oznaczano tak często, że gdyby profil w social mediach mógł dostać czkawki, ten akurat umarłby na niewydolność przepony. Za wydłubaniem pełnego niegodziwości rozporządzenia Rady Ministrów, różnicującego drużyny konduktorskie ze względu na płeć, stało Stowarzyszenie na Rzecz Chłopców i Mężczyzn.

Z przedstawionych dokumentów wynikało, że posiłek regeneracyjny należy się kobietom, kiedy na swoją pracę wydatkują więcej niż 1100 kcal, a mężczyznom – jeśli przekroczą 2000 kcal. Aby ustalić liczbę spalanych kalorii, spółka zwróciła się do ekspertów z Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi. Ci przeprowadzili specjalistyczne badania (np. mierzono częstotliwość rytmu serca, którą w następnej kolejności przeliczono na wydatki energetyczne), po czym wydali wyrok na konduktorów.

Brakłoby miejsca w gazecie, żeby przytoczyć wszystkie komentarze punktujące głupotę posłanek Lewicy z ministrą Kotulą na czele – zupełnie jakby to one odpowiadały za przepisy BHP wynikające z ergonomii pracy. Tej pięknej interdyscyplinarnej nauki obejmującej zagadnienia medycyny, antropometrii, psychologii, socjologii pracy i nauk technicznych. Dzień kobiet stał się tryumfem piekła mężczyzn. I chuj.

Mydlenie oczu, umywanie rąk

Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że

ogrom płciowej nierówności panuje również w pierdlach. Mężczyzna w kiciu otrzymuje 100 g mydła oraz jedną ciepłą kąpiel w tygodniu, kobieta zaś 200 g mydła i dwie ciepłe kąpiele!

Tym razem sprawę nagłośnił profil Stop Dyskryminacji Mężczyzn w serwisie X. „Tutaj znajdziecie przykłady dyskryminacji mężczyzn. Przedstawiamy dyskryminację mężczyzn na tle prawnym i obyczajowym. Naszym celem jest równość płci" – streścili swój program panowie, puszczając oczko internetową emotką na końcu ostatniego zdania oczko. A to bisurmany!

Rys. JANUARY

Kwestią higieny w kiciach zajmowali się rzecznicy praw obywatelskich, a nawet Trybunał Konstytucyjny.

„Skazani i tymczasowo aresztowani mężczyźni korzystają co najmniej raz w tygodniu z ciepłej kąpieli" – zalecają rozporządzenia ministra sprawiedliwości z 2003 r. Dyrektorzy więzień mogą podwyższać ten limit, ale w praktyce do 2014 r. rozporządzenie stosowali z bezwzględną dosłownością. W 2014 r. zastępca rzecznika praw obywatelskich Stanisław Trociuk zaskarżył rozporządzenie MS do Trybunału Konstytucyjnego jako niezgodne z kodeksem karnym wykonawczym zapewniającym więźniom m.in. „odpowiednie warunki higieny" oraz z konstytucją zakazującą „nieludzkiego lub poniżającego traktowania i karania" oraz wydawania rozporządzeń niemających umocowania w ustawie. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że przepisy o ciepłej kąpieli więźniów co najmniej raz w tygodniu są konstytucyjne i nie noszą znamion poniżającego traktowania.

Sprawa z mydłem ma się równie kiepsko. Choć w już 2014 r. ówczesna RPO prof. Irena Lipowicz oceniła, iż taka reglamentacja środka myjącego narusza konstytucyjną zasadę równości, rzecz przeszła bez echa. W obowiązującym rozporządzeniu ministra sprawiedliwości w sprawie warunków bytowych osób osadzonych w zakładach karnych i aresztach śledczych jak byk stoi 100 g mydła dla mężczyzn i 200 g dla kobiet na miesiąc! Na pocieszenie chłopaki dostają krem do golenia i nożyk, a dziewczyny mogą zaplatać warkocze z kłaków na nogach i pod pachami. Zresztą i tak z całej tabeli najbardziej smuci przydział papieru toaletowego (dla obu płci): dwie rolki 150 g na miesiąc. Kompletnie do dupy.

Na mydlany problem zareagowała na platformie X posłanka Anna Maria Żukowska z Lewicy. „To jest bardzo niesprawiedliwe, archaiczne i niezrozumiałe. Każdy człowiek ma prawo do zachowania higieny i godności wynikającej prozaicznie m.in. z nieśmierdzenia. Oczekuję od min. Marii Ejchart unormowania regulacji w tym zakresie niezależnie od płci osadzonych" – napisała Żukowska, wzywając do apelu wiceministrę sprawiedliwości. Pod jej postem wypowiedział się Społeczny Rzecznik Mężczyzn: „Po czym poznać, że zbliżają się wybory? Lewica mówi ludzkim głosem".

Równość to na polskiej ziemi wynaturzenie. Dopóki społeczeństwo nie dojrzeje do tego, że działania na wolnym rynku praw wymagają kompromisów, wszyscy dostaną po równo – każdy gówno.

IDALIA DUBICKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Najdłużej i w największych mękach umierał Zbigniew Ziobro na antenie Telewizji Republika. Aż nagle zonk! Od razu po przeszukaniu jego domu przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Ziobro pokazał się na wizji – w całkiem niezłej formie.

Wydarzenia te stworzyły okazję do wyrażania wielu opinii i komentarzy. W Telewizji Republika pojawili się m.in. rzecznik Nowej Lewicy Łukasz Michnik oraz poseł Suwerennej Polski Mariusz Kałużny. Doszło do interesującej wymiany zdań.

Michnik: „Życzę zdrowia ministrowi Ziobrze, rychłego powrotu do zdrowia, również dlatego, żeby mógł odpowiedzieć za wszystkie przestępstwa, których dopuścił się przez ostatnie osiem lat. (…) Nie odbudujemy zaufania, jeśli przed sądem nie stanie osoba, która okradała ofiary przestępstw, żeby robić sobie za to kampanię wyborczą. Mamy prawo wiedzieć, dlaczego z Funduszu Sprawiedliwości, który miał chronić ofiary przestępstw, kupowano wozy strażackie, garnki, które były potem rozdawane w okręgach wyborczych Solidarnej Polski".

Kałużny: „W swojej bezczelności, chamstwie i podłości przekroczył pan wszelkie granice. Mamy człowieka umierającego, człowieka, którego ja znam kilkanaście lat i nigdy się na nim nie zawiodłem, zawsze byłem przekonany o jego uczciwości i niezłomności".

Michnik: „Uważa pan, że [Ziobro] jest ponad prawem?"

Kałużny: „Dzisiaj ten człowiek walczy o życie. Ten człowiek się was nie boi. (…) Niech się pan w końcu zamknie i mi nie przerywa! Miał pan swoją minutę, pół godziny słuchałem, proszę pana".

Ktoś, kto przez pół godziny słucha kogoś, kto mówi minutę, zasługuje nie tylko na tytuł Móżdżku Tygodnia, ale również na szóstkę z fizyki. Dokładnie: z teorii względności.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl b68685da26

ETYKA BEZBOŻNA

A kto umarł, ten nie żyje.

Po co zmartwychwstawać?

Święto wiosenne ku czci wiosny i odradzającej się wegetacji obchodzone jest w tradycjach naszego regionu świata w sposób łączący dwie idee: przejścia (paschy) i zmartwychwstania. Zwycięstwo dnia nad nocą i słońca nad księżycem jakoś przestało oddziaływać na wyobraźnię mieszkańców szeroko rozumianego basenu Morza Śródziemnego. Bardziej przemawia do nas „przechodzenie", czyli zostawianie za sobą zimy i głodu, oraz wychodzenie z ziemi pędów tego, co wydawało się martwe. Rolnicze bóstwa roślinne umierają, by na wiosnę się odrodzić niczym trawa, a błogosławieństwo rodzącej ziemi upamiętniane jest przez opowieści o koczujących przodkach, którzy dawno, dawno temu nareszcie szczęśliwie się osiedlili na ziemi powierzonej im przez dobre, opiekuńcze bóstwa.

Wędrówki ludów i zmartwychwstania roślinnych bogów są intuicyjnie zrozumiałe. Każdy z nas jakoś tam czuje się cząstką przyrody i nadejście wiosny dla każdego jest czymś ważnym i miłym. Rozumiemy, że dla naszych dalekich przodków, żyjących z darów ziemi, wiosna była jeszcze ważniejsza. Dlatego wszyscy, nawet ateiści, w jakiś sposób świętujemy ten czas. Gorzej ma się jednakże sprawa z główną ideą chrześcijańskiej Wielkanocy, jaką jest zmartwychwstanie.

Jak świat światem cudotwórcy wskrzeszali umarłych. Nic dziwnego, że w legendzie o cieśli z Nazaretu ten motyw również występuje. Tyle że na koniec dnia ów sławetny Jezus wskrzesił się sam. To bardzo pokrętna idea i to z wielu powodów. Po pierwsze wszelkie „wskrzeszanie umarłych" jest nielogiczne, czyli niedorzeczne. Nie powiemy o nikim, że umarł, skoro ewentualnie możliwe jest, że wstanie. Gdyby ktoś, kto wcześniej leżał na katafalku, a nawet w grobie, nagle wstał, to znaczyłoby po prostu, że wprzódy jedynie wydawał się martwy, podczas gdy tak naprawdę żył, czego dowodem jest właśnie to, że obecnie wstał. Takie sytuacje się zdarzają. Bywa, że ktoś traci przytomność i znajduje się w stanie tak głęboko komatycznym, że osobom niemającym odpowiednich umiejętności rozpoznawania odruchów i pulsu, wydaje się martwy. Niezwykle rzadko, ale jednak zdarzało się, że ktoś z takiego letargu się budził. Musiało to robić na ludziach niebywałe wrażenie i wprawiać ich w nie lada dysonans poznawczy. Nic dziwnego, że upamiętniano takie wydarzenia w mitach i legendach. Mówią one właśnie o wskrzeszaniu umarłych bądź o zmartwychwstaniu. To pierwsze ma zastosowanie wtedy, gdy ktoś rzekomego trupa dotykał i coś z nim robił. Jeśli po takich zabiegach ów trup „ożywał", to można było ów cud przypisać potrząsającej nim osobie, uznając ją za wskrzesicielkę umarłych. Gdy zaś „trupa" nikt nie dotykał, a on i tak się obudził, to można było jemu samemu przypisać taką moc – moc zmartwychwstawania. I chyba coś takiego przytrafiło się właśnie cieśli z Nazaretu, w ramach legendy o jego śmierci na krzyżu i opustoszeniu jego grobu.

Kłopot logiczny ze wskrzeszaniem i zmartwychwstawaniem, jak mówiliśmy, polega na tym, że skoro ktoś wstał, to znaczy, że wcześniej żył, a nie był martwy. Tylko bowiem żywi mają przed sobą perspektywę wstawania, a trupy właśnie dlatego, że są trupami, wstać nie mogą. „Niewstawalność" należy do definicji bycia martwym. Natomiast w przypadku samodzielnego zmartwychwstania, to znaczy powstania z martwych bez pomocy osoby trzeciej jako wskrzesiciela, wychodzi na to, że jeszcze przed owym cudownym odżyciem, delikwent – będąc trupem – zadziałał i się sam wskrzesił. Mamy więc nie tylko sprzeczność polegającą na tym, że żywego uznaje się za niegdyś martwego, a martwego za zdolnego w przyszłości do powstania, lecz również drugą sprzeczność i niedorzeczność, polegającą na tym, że martwy, wciąż jeszcze będąc martwym sprawia swoje własne zmartwychwstanie, czyli się wskrzesza.

I komu to przeszkadza? Legenda wszak nie musi być logiczna. Otóż przeszkadza. I to podwójnie. Po pierwsze te niedorzeczności służą od dwóch tysięcy lat do szantażowania całego świata, od którego chrześcijanie żądają uczczenia „ofiary zmartwychwstałego" oraz podporządkowania się władzy kapłanów jedynej wszak prawdziwej religii tymże zmartwychwstaniem uwierzytelnionej. Kto by zaś odmówił, ten obrazi Boga wzgardzeniem jego ofiarą. Niemoralność tej szantażystowskiej figury jest oczywista, tak jak oczywista jest cała jej niedorzeczność. Można się tylko zasmucić, że ludzie masowo dają się w taki sposób manipulować. I to nawet w naszych czasach, gdy wszyscy są niby piśmienni i światli.

Jednakże

drugi powód, dla którego legenda o zmartwychwstaniu jest szkodliwa, to odpowiedź, jaką daje ona na strach przed śmiercią. Ta odpowiedź jest skandalicznie fałszywa, a jednocześnie strasznie dziecinna.

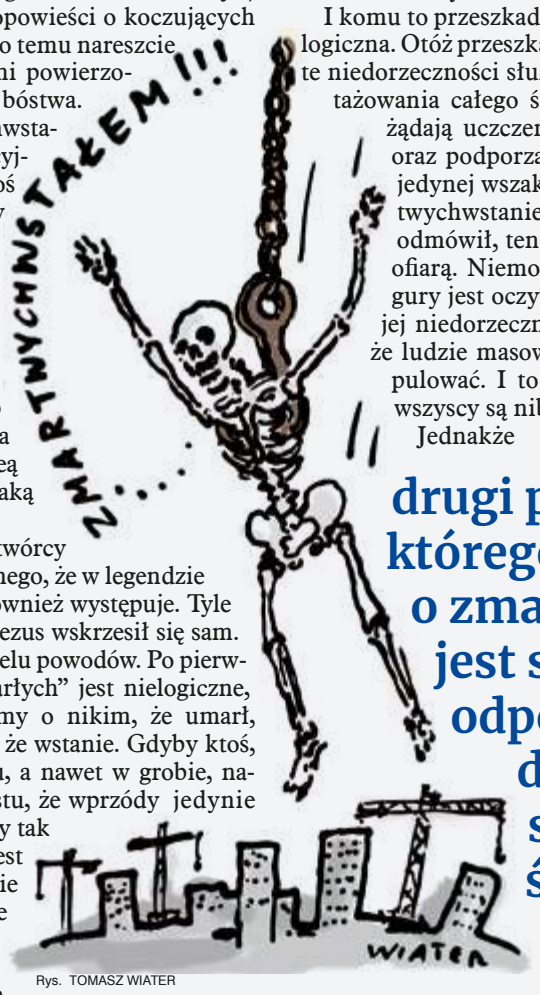

Rys. TOMASZ WIATER

Brzmi bowiem tak: śmierci nie ma, śmierć jest na niby, bo kiedyś się obudzisz i wstaniesz z grobu. Jest to nie tylko całkiem niedorzeczne, lecz również szkodliwe. Dojrzały stosunek do własnej egzystencji zakłada akceptację tego, że ma ona swój kres. Ba! Śmierć jest warunkiem tego, żeby nasze życie było czymś jednym, określonym i całym. Inaczej mówiąc, śmierć jest warunkiem tożsamości. Gdybyśmy naprawdę byli nieumieralni i musieli tkwić w nieskończoność w granicach swoich ciał i mentalnych ograniczeń wyznaczających naszą indywidualność, to chyba nie znalibyśmy innego pragnienia, jak zakończenie tej tortury. Nieskończoność dla skończonej istoty jest piekłem.

Nie życzę więc Wam zmartwychwstania ani zbawienia. Życzę Wam natomiast wiosennych porządków w sercach i ogrodach!

JAN HARTMAN

Czas na

Magiczne pole walki klas.

Co tu się, kurwa, odpierdala? – to zasadne pytanie stawiają sobie ludzie na całym świecie: od staruszków zbierających puszki, aby kupić bochenek chleba, po nastolatków, którzy dostali od tatusia najnowszą teslę. Jesteśmy bombardowani bodźcami w liczbie, która jeszcze 20 lat temu, nie mówiąc o wcześniejszych czasach, byłaby nie do udźwignięcia. Jak wiadomo, jesteśmy poznawczymi skąpcami. Aby całkiem nie oszaleć, nie możemy wciąż wszystkiego rozkminiać; jakaś w miarę satysfakcjonująca odpowiedź teraz jest lepsza niż żmudne i niekończące się wypracowywanie ciągłych odpowiedzi kiedyś tam. Musimy jakoś nadać sens swojemu życiu i światu wokół nas. Potrzebujemy drogowskazów, aby – jak Trzecia Droga w sprawie aborcji – nie być jak wąż pożerający własny ogon.

Donald Trump w Ameryce doskonale to pojmuje, Putin – w Rosji. W Polsce najszybciej zdał sobie z tego sprawę PiS, a nade wszystko Konfederacja.

Pochwała wiejskiej baby

W zeszłym roku Sławomir Mentzen, nieodrodny uczeń Korwina, mistrz polskiego politycznego TikToka, stał się obiektem drwin, gdy zaczął wychwalać ludową medycynę. Dokonał wręcz, jakby powiedzieli postmoderniści, dekonstrukcji opowiadania Bolesława Prusa, „Antek". Scena, w której znachorka Grzegorzowa każe wsadzić ośmioletnią Rozalkę do rozpalonego pieca chlebowego na „trzy zdrowaśki", w wyniku czego dziewczynka umiera, wedle pozytywistycznego pisarza miało piętnować zabobony. Ale lider Konfederacji przyznałby rację wyjaśnieniom znachorki: „Wy może myślicie, że dziewuszysko od gorąca tak sczerwieniało? To tak z niej choroba wylazła, ino że trochę za prędko, więc i umorzyła niebogę. To wszystko przecie z mocy boskiej".

Mentzen podkreślał, że „gdyby pozwolić leczyć ludzi każdemu, a nie tylko komuś, kto poszedł na uniwersytet, to wielu ludzi byłoby zdrowych, którzy tak zdrowi nie są". Przytoczył, jak mawiają katolicy, świadectwo osobiste. Jego brat w trakcie wakacji u babci złamał rękę. Babcia Sławka wzięła jego brata „do wiejskiej baby, która to w tym miasteczku od dziesiątek lat leczyła ręce. Ta baba wzięła tą rękę mojego brata, coś tam ponaciskała i ręka zaczęła działać. Ja nie wiem jak, czary to nie były, po prostu ta kobieta od pokoleń, jedna baba uczyła drugą babę, potrafiła naprawiać ręce. Kiedyś tak było".

Lider Konfederatów upiekł na ogniu nowej chłopomanii pieczeń swoich wolnorynkowych poglądów: „Mamy wykopaliska archeologiczne, gdzie w XI w. ludzie robili trepanację czaszki. Mamy te czaszki, które są tam lekko zasklepione. Wystarczy spytać antropologa, czy tak było. No tak było! Nasza obecna nauka nie potrafi wytłumaczyć, jak oni to zrobili, ale oni to robili. Ten wolny rynek jakoś działał".

Ugrupowanie grające na antyszczepionkowych nastrojach ma w szeregach ludzi pokroju lekarza rodzinnego z Dębna Marcina Sowińskiego, który zachwalał kosztujący parę tysięcy złotych sprzęt mający leczyć z autyzmu i depresji: dzięki „falom biorezonansu i pętli indukcyjnej zintegrowanej z urządzeniem" sprzęt ów „dociera do trudno dostępnych zakamarków organizmu, wzmacniając go i pobudzając do działania zasoby energetyczne".

Abstrahując od tego, kto dociera do zakamarków organizmu (i ducha!), a kto do przepastnych kieszeni ludzi zdezorientowanych, warto przyjrzeć się mechanizmom myślenia, które za tym stoją. Bo nie ma sensu ich negować, z różnych względów nie sposób ich wykorzenić, za to można – co postaram się wykazać – wykorzystać dla dobrych celów.

Jak doniósł mi kolega, swego czasu aktywny w tych kręgach, w ostatnich latach we wcale licznych środowiskach ezoterycznych – miłośników i miłośniczek tybetańskich mis, kryształów i medytacji – rozpoczął się ostry skręt w prawo. Pandemia koronawirusa i wojna na Ukrainie uruchomiły potężne pokłady przyczajonych lęków, które stały się żerowiskiem skrajnej prawicy. Co warto pokazać na pewnym konkretnym przykładzie, który niestety jawi się jako dość typowy.

Wejście Uzdrowiciela

Krzysztof Chrząstek sam pisze o sobie, że jest Uzdrowicielem, czyli osobowością typu „Introwertyk Intuicyjny Uczuciowiec Obserwator" (?). Tacy jak on to „idealiści, lojalni swoim wartościom i ludziom którzy są dla nich ważni". Pragną, by „ich życie zewnętrzne było powiązane z ich wartościami". Chrząstkowie „szybko

GADMAN

Kinoszlachetni

Najważniejsza ze sztuk w oczach prawicy

Skaranie boskie ma polska prawica z filmowcami. Ta polityczna i ta ideowa. Pan były wiceminister spraw zagranicznych Piotr Wawrzyk zechciał promować hinduskich filmowców. Osobiście pilnował, aby grupa obywateli Indii, kreujących się w wizowych wnioskach jako gwiazdy Bollywood, ekspresowo otrzymała prawo wjazdu do Polski. Aby w naszym tradycyjnie gościnnym kraju hinduscy filmowcy dodatkowo okrzepli ideowo i artystycznie. Opanowali sztukę poloneza tańca i sztukę odmawiania różańca, by rzucić amerykańskie Hollywood na kolana. Ale znów okazało się, że kino oparte na iluzji jest. Hindusi udawali, że są filmowcami, zespół wizowy pod wezwaniem ministra Wawrzyka – że wierzy w ich Bollywood, jedynie łapówki za przyznanie wiz miały być prawdziwe.

Kiedy jednak wawrzykowy zespół uczynił z transakcji „wizy za łapówki" istny międzynarodowy serial, sprawa się wydała i nastąpił ciąg zaskakujących zwrotów akcji. Kinomana wiceministra zdymisjonował urzędujący jeszcze jego premier. Potem Wawrzyk zagrał dramatycznie i wykreował swe samobójstwo. Nieudane, co obniżyło jego rangę na rynku aktorskim. Nie uchroniło go to przed prokuraturą i sejmową komisja śledczą walczącą z patologiami rządów PiS. I tak polityk, który był megagwiazdą publicystycznego serialu „Polski punkt widzenia" nadawanego przez Telewizję Trwam Ojca Dyrektora Rydzyka, musi się teraz chronić przed szyderstwami napotkanych osób. Zapuścił wąsy i brodę, wygląda dziś jak islamski terrorysta, może grać takiego przynajmniej w epizodach.

Polywood

Brody nie zapuścił jeszcze były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. I jego najbliżsi współpracownicy też jeszcze się golą. Ale obsadzony przez nich polityczny serial właśnie wystartował. Gwiazdą pierwszego odcinka został znany już mediom ksiądz Michał O. ze zgromadzenia księży sercanów. Prezes Fundacji Profeto, największego beneficjenta Funduszu Sprawiedliwości w czasach, kiedy ministrem sprawiedliwości był Zbigniew Ziobro. Tenże ksiądz Michał został w czasie Wielkiego Tygodnia aresztowany przez funkcjonariuszy ABW. Wraz z nim zatrzymano trzech urzędników z Ministerstwa Sprawiedliwości odpowiedzialnych za podpisywanie umów z funduszem, w tym dyrektora departamentu fundusz nadzorującego.

Decyzję o aresztowaniu czwórki i przeszukaniach wydał specjalny zespół śledczych badający dotacje przyznawane z Funduszu Sprawiedliwości, w tym na zakup oprogramowania Pegasus. Dlatego agenci ABW, szukając dowodów przestępstw, w świetle kamer filmowych przeszukali domy byłych wiceministrów sprawiedliwości: Michała Wosia i Marcina Romanowskiego oraz ich szefa Zbigniewa Ziobry. Mają teraz materiał na kilka następnych odcinków.

Ale ksiądz Michał, gwiazda sercanów, nie ma zarzutów ekscytującego szpiegowania, tylko kradzieży publicznych pieniędzy. Czynu banalnego i popularnego wśród księży kat. Podziw innych złodziei może wzbudzić jedynie skala przestępstwa. Na budowę kreacyjnego ośrodka „Archipelag – wyspy wolne od przemocy" w Wilanowie pomysłowy ksiądz miał ponoć wyssać z funduszu blisko 100 mln zł. Wcześniej ksiądz Michał zyskał sławę jako iście filmowy egzorcysta. W swej książce „Egzorcyzm. Posługa miłości" przekonywał o szkodliwości konkurencyjnych książek J.K. Rowling o Harrym Potterze. Przestrzegał, że czytanie, a także oglądanie ich ekranizacji, kończy się zwykle opętaniem. Czyli robotą dla niego. Zatem nie musiał na tego Pottera tak intensywnie bluźnić.

Trzeba przypomnieć, że ksiądz Michał od sercanów nie siedzi w areszcie za egzorcyzmy. Wiele wskazuje na to, że pomocowy charakter budowanego przez niego Archipelagu mógł być jedynie wizualną kreacją, istnym kinem. W rzeczywistości, jak twierdzą eksperci, pomysłowy ksiądz chciał stworzyć za państwowe pieniądze swą prywatną telewizję. Koncern medialny podobny do posiadanego już przez ojca dyrektora Rydzyka.

Trzeba też przypomnieć, że pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości miały być przeznaczane przede wszystkim na pomoc pokrzywdzonym przez przestępców, prześladowanym świadkom przestępstw, przeciwdziałaniu przestępczości oraz pomoc postpenitencjarną, czyli dla byłych więźniów pragnących rozpocząć nowe, uczciwe życie na wolności.

Ciekawe, czy jeśli sąd orzeknie, że ojciec Michał naprawdę okradł Fundusz Sprawiedliwości i skaże go na więzienie – to czy po odbyciu kary wystąpi on do Funduszu Sprawiedliwości o pomoc postpenitencjarną? Choćby o pieniądze na

eprasa.pl b68685da26

lewicowych guru

się adaptują", są bowiem „plastyczni i akceptujący, dopóki ich wartości nie zostaną zagrożone".

Plastyczny Chrząstek przekonuje, że pomaga ludziom w zrozumieniu i poznaniu siebie, a czyni to posługując się „elementami jasnowidzenia, intuicją, wewnętrzną mądrością, pracą z energią oraz korzystając z szerokiego życiowego doświadczenia". Szczególnie zachęca do „sesji ustawień energetycznych" – cokolwiek by to miało znaczyć. Skromnie dodaje, iż inspiruje do przemiany swego wnętrza, zharmonizowania serca z umysłem, aby być „coraz bardziej zdrowym, szczęśliwym, radosnym i spełnionym w życiu".

Uzdrowiciel wyznaje ciekawy konglomerat przekonań, uznając choćby, że kosmici dzięki telepatii mogą wpływać na nasze sny czy wizje: „Od wielu lat mówi się, że nawet już teraz ludzie dysponują technologią holograficzną, za pomocą której można tworzyć wizje ludzi czy przedmiotów, które są bardzo realistyczne. Kto wie, czy wiele objawień maryjnych nie ma właśnie takiego źródła".

Chrząstek próbuje też, bo takie mamy czasy, zmonetyzować swoje cenne umiejętności, nie mając wygórowanych wymagań finansowych. Można zamówić u niego analizę czakr (centrów energetycznych człowieka), dekrety afirmacyjne dla indywidualnych osób na konkretne sprawy, modlitwę wstawienniczą w jakiejś intencji oraz coaching życiowy i biznesowy. Napisał też parę książek, w tym rymowaną bajkę dla dzieci „Zaczarowany las", zbiór opowiadań „Uśmiech Słońca" czy „Poradnik szczęśliwego człowieka". Ale zdecydowanie najciekawsza jest wydana – nie przez przypadek zapewne – w czasie pandemii powieść „Wyzwoliciel. Żelazny Guru", pokazująca, jak od kosmitów i telepatii można przejść do klimatów chwilami ocierających się o faszyzm.

Zrobić porządek

Główny bohater powieści, Jan Dobry, chciał uciec od zmierzania donikąd, „to znaczy do nielubianego biura, nielubianej pracy i nielubianych pogaduszek z kumplami, którzy myśleli przeważnie o tym, ile wypić, którą zaliczyć i kto wygra w najbliższym meczu". Dobry zbuntował się i „walnął pięścią w stół niczym mały dyktator". Bodźca dostarcza mu kobieta, która jawi się jako typowa blachara. „Inni już mają domy, samochody, a my się ciągle spotykamy w tym małym, ciasnym mieszkanku, które będziesz jeszcze pewnie spłacał ze dwadzieścia lat" – wytyka mu niewiasta. Nie dziwi zatem, że Dobry odpowiada jej wprost: „Ty jesteś cyniczną, zepsutą babą, która leci tylko na kasę".

Rys. TOMASZ WIATER

Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, więc Dobry wchodzi w medytację, horoskopy i jogę. Zaczyna go wkurwiać własna bezsilność i brak poczucia sprawczości. Dochodzi do konstatacji, która jest częścią polskiej mądrości ludowej: „politycy to tylko marionetki jakichś grup rządzących zza kurtyny". Grupy owe składają się z osobników, którzy „niewidoczni dla innych, stale pozostawali w cieniu i dzięki temu mogli sprawiać wrażenie, że wcale ich nie ma", ale tak naprawę „z zimną zawziętością i bezduszną taktyką parli do przodu, próbując zrealizować swoje antyludzkie i niemoralne cele".

Koniec końców Dobremu udaje się przejąć ster władzy w Polsce i wprowadza zmiany twardą ręką, stając się wytęsknionym przez masy Żelaznym Guru. Podłych mężczyzn każe kastrować, złe kobiety batożyć, czego opis uradowałby każdego freudystę: „Przywiązano je do słupów, tylko inaczej niż tamtych. Stały twarzami do pali, a plecami do wszystkich. Pięciu ubranych na czarno mężczyzn podeszło do nich ze skórzanymi batami długości około półtora metra. Gdy Jan skinął w milczeniu głową, na ich plecy spadły potężne razy. Dało się tylko słyszeć ich jęki rozpaczy i bólu".

Takie sceny wreszcie zaspokoiły poczucie ludowej sprawiedliwości: „Ludzie przychodzili oglądać to karanie i nie mogli uwierzyć w to, co widzieli. Oto ci, którzy dotąd tylko obiecywali, a potem okradali naród i kraj, wreszcie ponosili za to kary. Widzowie przed telewizorami spokojnie patrzyli, jak ich twarze i ciała wiły się od bólu, rozpaczy i upokorzenia".

Jedna z tyrad Jana brzmi nieomal w słowo w słowo niczym program rodzimej skrajnej prawicy: „Widzieliście, że starałem się grzecznie, według tak zwanego prawa, zrobić porządek z tymi sukinsynami, którzy za nasze pieniądze zniszczyli nam gospodarkę, firmy, sprzeniewierzyli majątki i rozprzedali je, służąc obcym siłom i korporacjom. Ale ten czas już minął. Nastała nowa era – normalności i uczciwości".

Jeśli odłożyć pewne poboczne wątki, dzieje Dobrego jawią się jako walka z niegodziwym systemem społeczno-ekonomicznym, masowym oszustwem i podłością. Żelazny Guru chwilami nieźle diagnozuje problemy, ale znajduje dla nich fantastyczne rozwiązania, nie rozumiejąc choćby obiektywnej struktury charakteru walki klas, która niekiedy przyodziewa różne kostiumy.

Warto rozmawiać

Czas na lewicowych guru, którzy podążą za myślą papieską.

Rzecz jasna, nie idzie mi o JP2, ani nawet o znacznie bardziej sympatycznego Franciszka, lecz o człowieka o papieskim nazwisku Urban i imieniu rycerza, co zabił smoka – Jerzy. Dokładnie 15 lat temu w jednym ze swoich felietonów („NIE", nr 10/2009) przestrzegał on:

„Kiedy ludzie XXI wieku wyśmiewają się z moherów, szydzą z ich proroka Rydzyka, ubytków w uzębieniu, dewocji i nakryć głowy – wzmagają tym wykluczenie Radiomaryjców, a co za tym idzie potęgują ich fanatyzm i agresję. Ośmieszanie zastąpić powinien dialog".

I radykalna lewica powinna rozmawiać z ludźmi, bo nic tak nie jednoczy jak wspólna sprawa, wskazanie, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem.

A czy ktoś odbył staż na Oxfordzie, tyra w Żabce, czeka na kolejne przyjście Jezusa, czy raczej wierzy, że liczba trzy przynosi mu w życiu szczęście (ja np. wierzę), to bez większego znaczenia… Już w komunistycznym „Katechizmie" (nazwa nieprzypadkowa!) Fryderyk Engels pisał, że nie liczą się spory o istnienie raju po śmierci, trzeba wspólnie budować raj na Ziemi.

U kochających ezo różne rzeczy mogą śmieszyć, denerwować, ale naprawdę jest im potencjalnie znacznie bliżej do lewicy aniżeli do tych wszystkich konfiarzy, którzy wiodą ich na manowce. Broń słabych to spryt i roztropność. Kiedy zatem prawica bredzi o marksizmie-lesbianizmie – choć wiele lesbijek tworzy związki na wskroś konserwatywne, z niedzielnymi obiadkami rodzinnymi i dziećmi, czego wiele par hetero unika dziś jak ognia – to czemu lewica nie miałaby przyjąć z otwartymi rękami wyznawców ezoteryki?

Warto pamiętać, że polityka to nie taksówka, lecz autobus – jest wspólny kierunek, ludzie wsiadają i wysiadają na różnych przystankach, ale nie wybiera się współpasażerów, a jedynie dba, aby spokojnie dotrzeć do celu.

Wszystkie ręce na pokład

Moje doświadczenie uczenia studentów, a zwłaszcza studentek, które w humanistyce i naukach społecznych dominują w Polsce, jasno mówi, że Zetki są bardzo uduchowione. Starają się na różne sposoby nie zatonąć w tym oceanie konsumpcyjnego szału. Przypominam sobie w takich okolicznościach własne czasy licealne, gdy z dumą własnoręcznie ozdobiłam czapkę zimową naszywką z rozłożystym drzewem i napisem: „Nie ma kompromisu w obronie Matki Ziemi".

Ezo, jak niemal wszystko na tym świecie – może poza PiS-em i Konfederacją – ma dobre i złe strony. Zainteresowanie tajemnicami naszych ciał i psychiki w obliczu coraz większego uzależnienia od technologii będzie się tylko nasilać. Jest to zrozumiała reakcja obronna na świat, który – zdaniem ogromnej rzeszy ludzi – podąża w niewłaściwą stronę. Nie należy się z tego wyśmiewać. Trzeba prowadzić dialog z zagubionymi ludźmi, dziś w sposób bezwzględny wykorzystywanymi przez prawicę i korporacje, które dostrzegają ich potencjał marketingowy i polityczny.

Jeśli ktoś chce budować bardziej sprawiedliwy świat, w którym nie ma miejsca na wyzysk, rasizm, transfobię, seksizm czy eksploatatorski stosunek do przyrody, to należy go/ją powitać z otwartymi rękami. A jeśli czyni to za podszeptem duchów przodków, energii Kosmosu czy pod wpływem magicznych kryształów górskich – mogę z tym żyć…

KATARZYNA KOENIG

---

zakup egzorcystycznego ekwipunku, aby dalej walczyć z opętanymi przez Harry'ego Pottera? Czyż nie jest to fajny pomysł na kameralny film kontynuujący nurt moralnego niepokoju?

Być może ksiądz Michał kradł nasze pieniądze, aby stworzyć egzorcystyczną telewizję, a może też i wytwórnię filmową. Polska katolicka prawica od lat nawołuje, modli się nawet, o produkcję wielkiego polskiego dzieła filmowego, które rozsławi Polskę za granicą. Pokaże wreszcie naprawdę prawdziwą historię narodu polskiego. Dzieła o rozmachu i formie filmu z Hollywood oraz narodowo-katolickiego w treści. Takiego polskiego „Bravehearta" Mela Gibsona. Dotychczasowe próby nie spełniły oczekiwań. Ani film „Wyklęty" Konrada Łęckiego, ani nawet „Raport Pileckiego" Krzysztofa Łukasiewicza takim Gibsonem nie jest.

Chata wuja Tadka

A co gorsza, ciągle pojawiają się wybitne filmy polskie, które wkurwiają polską katoprawicę na maksa. Ostatnio wściekłość katoelit intelektualnych wzbudziły kinowy „Kos" Pawła Maślony oraz bijący rekordy w Neflixie serial „1670" wyreżyserowany przez Macieja Buchwalda i Kordiana Kądzielę. Wściekłość tak wielką, że pismo prawicowych ultrasów, tygodnik „Do Rzeczy", polemikę z twórcami obu filmów uczynił tematem wiodącym jednego z wydań. Z umieszczoną na pierwszej stronie zajawką: „Z nienawiści do polskości. Kto z dawnej Rzeczpospolitej robi piekło chłopów".

„Ojkofobiczne elity chcą zohydzić polskość, czyniąc z kulturotwórczych warstw dawnej Rzeczypospolitej bandę najpodlejszych okrutników, przedstawiając przedrozbiorową wieś jako niewolnicze piekło" – grzmiał w „Do Rzeczy" redaktor Paweł Chmielewski. Gromko i serio, bo bez krztyny umiejętności wyczucia gatunków filmowych. Nie zauważył biedak, że serial „1670" nie jest celowym poważnym atakiem na Polskę szlachecką, lecz montypythonowską przypowiastką o typowych cechach Polaków. Ubraną jedynie w XVII-wieczny kostium.

Rys. BARTŁOMIEJ BELNIAK

Zauważył to Krystian Kratiuk, redaktor naczelny arcykonserwatywnego portalu PCh24, uznając serial „1670" za filmowy żart. Niewart kruszenia prawicowych kopii. Przypomniał równie prześmiewczy serial historyczny „Czarna Żmija", wyprodukowany w państwie tak poważnym jak Wielka Brytania. I pomimo tego korona królowej brytyjskiej nie spadała.

Nie odpuszcza Kratiuk za to „Kosowi" Maślony. „Jaką to wiedzę otrzyma Polak, który uda się na »Kosa«?" – pyta i od razu odpowiada, że „szlachcice w »Kosie« nie są pobożnymi, rycerskimi patriotami, ale bandą pijusów z bożego nakazu nienawidzących chłopstwa i wyżywających się na tej warstwie społecznej w każdy najgorszy z możliwych sposobów".

Wtóruje mu Piotr Gociek w „Do Rzeczy". Dla sprawiedliwości przyznaje filmowi walory artystyczne, ale stawia pytania: „Czy gdyby Polska szlachecka wyglądała tak, jak ją malują jego twórcy, wydałaby Tadeusza Kościuszkę?". I „czy Kościuszko uznałby taką Rzeczpospolitą za wartą obrony?". Bo ton patriotyczny i niepodległościowy, reprezentowany przez Kościuszkę, jest nie do pogodzenia z „szyderką, panświnizmem, pedagogiką wstydu i doprowadzonym do przesady samobiczowaniem" obecnymi w filmie.

Jeszcze niedawno każdy Polak przekonywał każdego Polaka, że jego przodkowie szlachtą byli. Chłopskich przodków nie było. I choć dzisiaj polska prawica odwołuje się do konserwatywnych wartości i religijności chłopskiego stylu, to dalej stroi się w szlacheckie piórka.

Z drugiej strony polska lewica wykorzystuje obecnie modną nową chłopomanię i sadystycznie czasem pokazuje swych ludowych przodków jako podobnych Murzynom niewolników, ofiary podłej szlachty. Bijąc tym w prawicowe elity. Tych postszlacheckich kulturowo Goćków, Nowaków, Kratiuków noszących jednak nazwiska odziedziczone po nieherbowych przodkach.

Dlatego kino ma się w Polsce świetnie. I świetlaną przyszłość ma przed sobą.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl b68685da26

Ogródki działkowe – księstwo prezesów z czterema milionami poddanych

Ilustr. PAWEŁ FERENC

930 Watykanów

Prezes Michał wydał na zakupy 135 tys. zł. Co kupił? Nie wiadomo. Nowy prezes powiadomił prokuraturę. Była kasa, gdzie jest kasa? Wkrótce jednak zrozumiał, że jest coś takiego, jak ogrodowa specyfika. Oświadczył policjantom, że strata, jeśli była, jest za mała, żeby robić dym.

Powierzchnia całkowita eksterytorialnego Watykanu wynosi 44 ha. To o 40 818 ha mniej niż mających podobny status, choć nieuregulowany prawnie, polskich ogródków działkowych.

– Proszę o tym napisać, bo każdy uważa, że jest nas tyle, co brudu za paznokciem – mówią działkowcy.

Polski Związek Działkowców zrzesza 1 033 723 osoby. Każdy ogród zajmuje rodzina, więc rozmawiamy o ok. 4 mln Polaków.

Z powodu sąsiadek

Dobrze położona i pięknie zagospodarowana działka to łakoma rzecz. Choć ziemia należy do państwa, samorządu albo stowarzyszenia – działkowiec ją tylko użytkuje. Podań o przyjęcie w poczet członków Polskiego Związku Działkowców wpływa coraz więcej. Na kilkaset metrów ziemi (działki mają od 300 do 500 mkw.) czeka się latami.

Prawo użytkowania można odkupić. W stolicy ceny zaczynają się od 40 tys. zł. Za zadbany ogródek trzeba wyskoczyć ze 100 tys. zł. Coraz częściej wakacje spędza się „na domku". Nie płacisz za nocleg. Warzywa własne.

Bogumił z Konina przysłał kilka kilogramów ogródkowych dokumentów. „Wyżywam się w ogrodzie" – pisze. „Płaciłem, ile chcieli, nie pytałem za co, na co i komu. Nie znałem władz, hierarchii, obowiązującego prawa pisanego ani przyjętego"…

Owszem, kumał, że działkowiec na zagrodzie nie jest równy wojewodzie. Ma nad sobą zarząd PZD i zarządy okręgowe. Ale przecież nie chodzi o to, żeby był.

Niestety, w 2019 r. sąsiadki poprosiły, aby poszedł na walne zebranie. – Doświadczony jesteś. Przeszedłeś wszystkie etapy kariery, od prostego robotnika. Odszedłeś na emeryturę jako dyrektor wielkiego zakładu budującego przemysł – przypomniały.

Nie wypadało odmówić. Na walnym wybrano go na delegata na zjazd, bo w PZD bardzo ważna jest demokracja.

Z powodu szpadla

Nieuzasadnione naliczanie opłat to jeden z podstawowych zarzutów podnoszonych przez działkowców. Ludziom nie podoba się też wydawanie pieniędzy na remonty biur i zwiększanie liczby pracowników. A także niepotrzebne inwestycje. Bogumił wkurzył się, kiedy prawem kaduka rozpoczęto budowę parkingu przy ogrodzie w Koninie.

– Zadzwoniłem do zarządu w Kaliszu. Poprosiłem z prezesem – opowiada. – Usłyszałem: nie ma. To z radcą prawnym. Nie mamy. To może z kimś od inwestycji. Chodzi o parking w Koninie.

Słuchawka: Ludzie dzwonią, że to inwestycja, a to jest remont, nie potrzebowaliśmy żadnych uchwał. Bogumił: Prowadzenie robót ciężkim sprzętem na polach rolników to remont? Słuchawka: Do widzenia.

Któregoś dnia Bogumił poleciał na budowę, bo dowiedział się, że miejscowy prezes osobiście dogląda koparkę. Towarzyszył mu inny ogródkowicz, żeby był świadek, gdyby co. Podeszli na siedem metrów, zwał ziemi i wykop uniemożliwił podanie rąk.

– Dzień dobry panie prezesie, szczęść Boże – grzecznie zaczął Bogumił. – Czy ma pan zgodę samorządu ogrodów na prowadzoną inwestycję?

Cisza.

– Pytam Pana, niech mi Pan odpowie.

Prezes: – Do biura spierdalajcie, do biura.

Świadek: – Byłem w biurze. Jak się odzywasz gówniarzu do starszego!

Bogumił do świadka: – Uspokój się.

Bogumił do prezesa: – Aby prowadzić inwestycję, trzeba mieć dokumentację i zgodę Konferencji Ogrodów Działkowych...

Prezes ściągnął policję. Bogumił: – Nie śpieszyli się. Czekałem na policjantów ze 40 minut, bo chciałem na miejscu wyjaśnić...

Jerzy Wdowczyk, prezes okręgowy z Kalisza dla „Przeglądu Konińskiego": „W Koninie doszło do zatargu… Ktoś próbował uderzyć prezesa szpadlem, ale ten odskoczył na bok, strzeliło mu kolano i jest na zwolnieniu".

Bogumił: – Nie miałem szpadla, dzieliło nas siedem metrów, prezesa widziałem w pracy następnego dnia, miał zdrowe nogi…

Z powodu śmierci

Anna mieszka w Oświęcimiu. Jest opiekunem prawnym 80-letniej mamy. Starsza pani przez 40 najlepszych lat wypoczywała z mężem na działce. – Tęskniła za tym swoim kawałkiem raju. Zawiozłam ją którejś niedzieli, żeby złapała słońca – opowiada córka. Na furtce była obca kłódka, na altanie też.

Policjanci ustalili, że kłódki powiesił zarząd PZD. Rozalia nie ma prawa do działki, była własnością jej męża Adama, ale ten przecież walnął w kalendarz.

Do PZD należała Renata z Konina. Wyjechała za pracą do Szwecji. – Zajmij się ogrodem, mamo – poprosiła przed wyjazdem.

Mam w łapie uchwałę pozbawiającą Renatę działki. Termin wypowiedzenia wynosi dziewięć dni. W uchwale nie wskazano sposobu odwołania od decyzji. Tylko powód. „Niepłacenie za dzierżawę działki na łączną kwotę 899,10 zł". Z pokwitowań zgromadzonych przez kobiety wynika, że zalegają z wpłatą 315 zł jedynie za ostatni rok. Wcześniej regulowały należność, choć czasem pomniejszoną. Np. w 2017 r. nie dopłaciły 0,90 zł.

Działkę przejął pan W. Renata podniosła, że w rachunkach są błędy, zaś W. jako osoba samotna nie ma kwalifikacji, aby dbać o ziemię.

Prezes z Kalisza odniósł się jedynie do W. Ten W. „zawarł związek małżeński z osobą, która posiadała w ROD działkę", więc z pewnością wspólnie dadzą radę z trawnikiem. Może i w wypowiedzeniu jest błąd rachunkowy, ale nie sposób odwrócić tego, co się stało, bo „na działce powstała sytuacja faktów dokonanych".

Z powodu wysikania

Czasem prezesi wydają składkowe pieniądze jakby to były ich własne.

A jak nie ma poszkodowanego, nie ma przestępstwa.

Na działkach w Lipianach (to pod Szczecinem) prezes kazał wyciąć wszystkie żywopłoty, bo karetka utknie w zarośniętej alejce. Pozbyto się krzaków nawet tam, gdzie droga była szeroka na cztery metry. Na koszt działkowców, naturalnie. – Wyciąłem wszystko, żeby było sprawiedliwie – wyjaśnił prezes.

W Bełchatowie była wielka wojna o drzewa. Działkowiec posadził kilkanaście sztuk, zamontował na nich budki lęgowe i dostał dyplom od leśników. Za to wpierdol od kierownictwa ogrodu. – Działka jest do uprawiania warzyw, nie po to, aby zrobić na niej las – usłyszał. – Drzewo na działce nie może być większe, niż...

Bunt? Jaki bunt? Jeśli ludzie nie będą się stosować do regulaminu, zostaną wywłaszczeni – to ulubiona groźba szyszek z PZD.

Regulaminy nie wypowiadają się tylko w sprawie sikania. Wszystko inne – rozpalenie ogniska, wysokość drzew, wycięcie lub posadzenie drzewa, przyprowadzenie zwierzaka bez kagańca – jest zabronione albo limitowane. Można, jeśli urzędnik z PZD pozwoli.

Z powodu kradzieży

Krytykantom przytrafiają się nieprzyjemne przygody. Jakby sam Pan Bóg miał ich na oku. Drobne. Przychodzą podlać ogórki, a tu folia szklarni pocięta szkłem. Zamki na sztywno zatkane pianką monterską. Albo warzywa spryskane trucizną.

Grubsze. Do Pawła zapukał listonosz. Przesyłka z Sądu Rejonowego w Koninie. Wyrok nakazowy. „Na podstawie dowodów okoliczności czynu i wina obwinionego nie budzi wątpliwości" – czytał zdumiony. „Ok. godz. 12.00 w Koninie przy ul. Torowej 26 dokonał kradzieży na stacji paliw benzyny na sumę 10,01 zł"...

Paweł swoje lata ma. Serce, szpital. Potem analiza akt. Dowodem jego winy jest protokół spisany przez sierżanta Jacka Sz. Data zgadza się z tą z wyroku. Sierżant napisał dokument o 10.00. Kradzież miała mieć miejsce dwie godziny później.

Czy można udowodnić, że za takimi przypadkami stoi ktoś z administracji ogrodów działkowych? Pewnie, że nie można. Więc zamiast kopać się ze słoniem, ludzie wolą uprawiać ogórki. „Działacze ogrodowi nawet nie potrafili mnie wyrzucić ze związku" – donosi Bogumił, ten z początku tekstu, wysłany przez sąsiadki na przeszpiegi, gdzie ginie ogrodowa kasa i demokracja. Już nie zajmuje się walką o sprawiedliwość. Zdrowie nie pozwala.

• • •

Prezesi mówią to samo. Ogródki funkcjonują od 120 lat. Jeśli były nieprawidłowości, zostały załatwione w 1981 r., kiedy to działkowcy znów – po mrocznych czasach komuny – wybili się na niepodległość.

W przedstawionych sprawach racja jest po stronie zarządów. Po tamtej kłamstwa, pomówienia, bezczelne obrażanie. Dowód: podżegacze zasypują posłów zawiadomieniami o rzekomych przestępstwach. I co? Nico.

Może dlatego, że Krajowa Rada PZD zabiera głos przed każdymi wyborami i nikt nie chce narażać się czterem milionom wyborców. Teraz apeluje, że w samorządach muszą zasiąść ludzie, „którzy rozumieją znaczenie ROD i są gotowi bronić ich interesów". Wybrańców wskażą władze lokalne i wesprą „wszelkimi dopuszczalnymi metodami, stosowanymi w działalności struktur Związku".

BOŻENA DUNAT

REKLAMA

eprasa.pl b68685da26

Separatyzm z kruchty

Obchodzimy srebrny jubileusz idiotyzmu implementacji prawa kościelnego do świeckiego ponoć państwa.

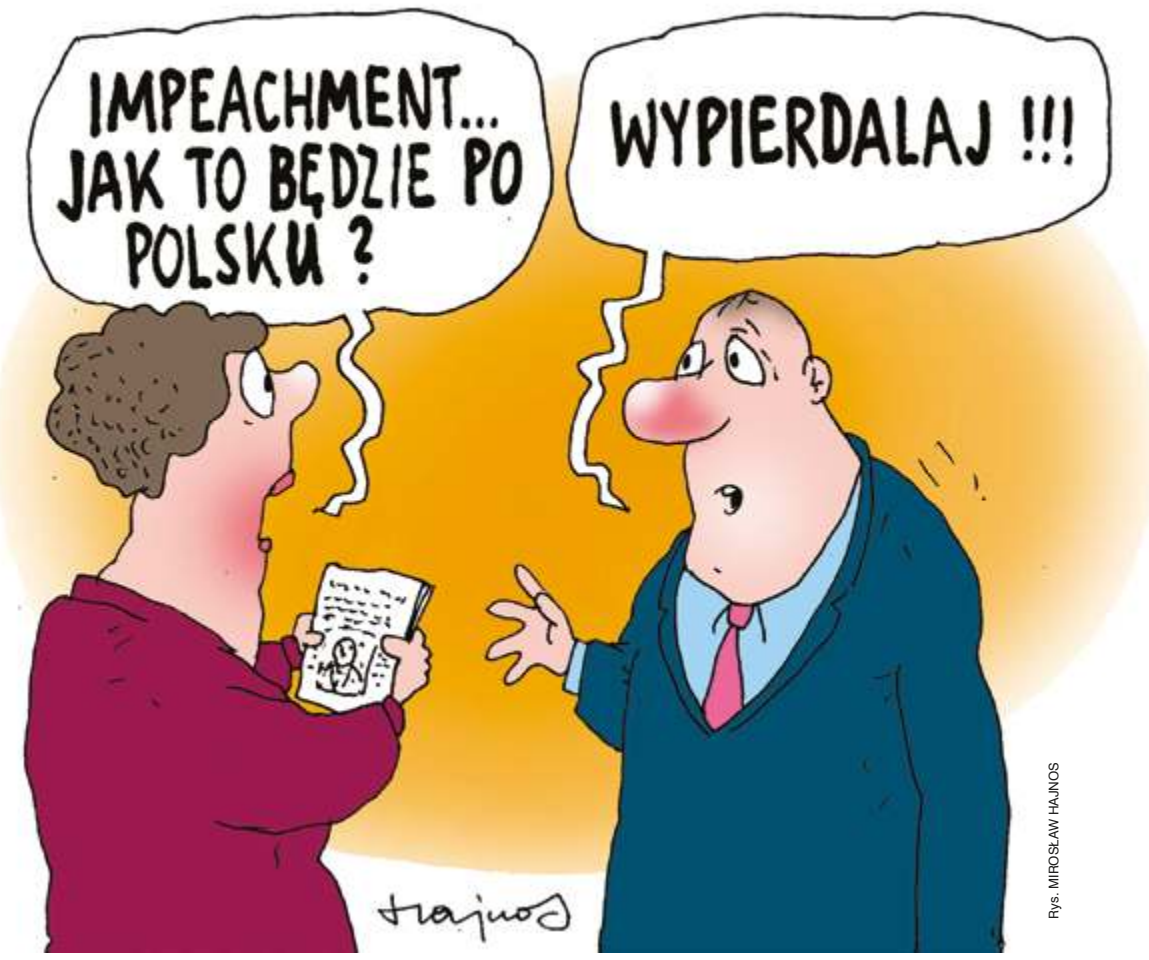

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Kiedy dwoje obywateli Rzeczpospolitej płci różnej przestało mieć się ku sobie, ale wiąże ich mniej lub bardziej uświęcony węzeł małżeński, mogą postarać się w sądzie o przecięcie go. Polka i Polak z niekatolickim systemem wartości oczywiście się rozwiodą. Natomiast niespasowane stadło katolickie winno się rozseparować. Po to Akcja Wyborcza Solidarność po naciskach hierarchii kościelnej przeniosła w 1999 r. zapisy prawa kanonicznego do kodeksu rodzinnego i opiekuńczego.

I że cię nie opuszczę

Kościół nauczył się w ostatnich stuleciach, że co prawda mąż i żona mają obowiązek zachowania „wspólnoty życia", tyle że niekoniecznie. Przez małżeńską wspólnotę życia rozumie zaś wspólne zamieszkanie, stół i łoże. Co jednak w przypadku, gdy ślubna małżonka nie daje obiadu, nie rozkłada nóg i w dodatku mieszka pod Brukselą?

Katolickim rozwiązaniem jest uświęcona przez Kościół separacja, czyli „zerwanie lub zaniechanie wspólnoty życia dwojga małżonków przy dalszym trwaniu zawartego przez nich małżeństwa".

A ponieważ Polska to wciąż dla Kościoła kraj zamieszkiwany w 90 procentach przez katolików – uznano, że niczego im tak nie trzeba, jak dopisania tej fikcji do kodeksu rodzinnego. Kościelna hipokryzja weszła do obiegu prawnego. I od ćwierć wieku możemy się separować.

Separaci, czyli rozseparowani małżonkowie, uzyskują rzecz jasna rozdzielność majątkową. Swój dotychczasowy majątek dzielą sami, lub pomaga im w tym sąd. Nie dziedziczą też po sobie z mocy prawa.

Postseparacięta, czyli urodzone po 300 dniach od orzeczenia sądu poseparacyjne dzieci separatki, czyli odseparowanej żony, nie mają domniemania ojcostwa odseparowanego męża, czyli separata.

Jakby zaś któremuś z separatów nie starczało na życie, to może się od tego drugiego domagać alimentów. Jeśli zaś chodzi o kaskę na separacięta – czyli wspólny, dotychczasowy przychówek separatów – to dogadują się co do niego sami lub liczą na wyrok sądu. Dokładnie tak samo rzecz ma się z władzą rodzicielską i sprawą kontaktów z dzieckiem.

Jeżeli separaci zajmują wspólne mieszkanie, sąd orzeka także o sposobie korzystania z tego mieszkania przez czas wspólnego w nim zamieszkiwania. W przypadkach wyjątkowych, gdy jeden z separatów swym rażąco nagannym postępowaniem uniemożliwia wspólne zamieszkiwanie, sąd może nakazać jego eksmisję na żądanie drugiego separata. Na zgodny wniosek stron, sąd może orzec również o podziale wspólnego mieszkania albo o przyznaniu mieszkania jednemu z separatów, jeżeli drugi wyraża zgodę na jego opuszczenie bez dostarczenia lokalu zamiennego i pomieszczenia zastępczego, o ile podział bądź jego przyznanie jednemu z małżonków są możliwe.

Jeśli komuś czytającemu to wydaje się, że skądś to zna, to niech się nie dziwi. Jak do tej pory wszystko, co napisałem o separacji, jest toczka w toczkę zgodne z tym, co dotyczy rozwodów.

Aż do rozwodu

O różnicach będzie teraz. Najważniejsza jest taka, że o ile po orzeczeniu rozwodu można zawrzeć ponownie związek małżeński, to po separacji – nie. Separację natomiast można znieść i niejako przywrócić stare małżeństwo. Po rozwodzie ten, kto przyjął nazwisko współmałżonka, może wrócić do swojego poprzedniego nazwiska, a po orzeczeniu separacji nie.

W przypadku wypłacania alimentów rozwiedzionemu małżonkowi istnieje prawna granica zakładająca, że może to trwać pięć lat. Przy separacji takiego ograniczenia nie ma. Separaci zawsze obowiązani są do wzajemnej pomocy, jeżeli wymagają tego „względy słuszności". Co to ma być, wiedzą zapewne jedynie ustawodawcy. Dla każdego sędziego taki kwiatek oznacza, że w orzekaniu ma absolutnie wolną rękę.

Możliwe są dwie sądowe drogi uzyskania separacji. Pierwsza w tak zwanym trybie nieprocesowym, a druga standardowa.

Tryb nieprocesowy polega na tym, że małżonkowie piszą do sądu okręgowego wspólny wniosek o orzeczenie separacji. Koszt takiego ujęcia sprawy to 100 zł. Procedura ogranicza się zwykle do jednej rozprawy, a postępowanie dowodowe polega na przesłuchaniu stron. Jak oboje wyklepią to, co napisali w pozwie – czyli że nastąpił zupełny rozkład pożycia małżeńskiego, szlag trafił więzi na płaszczyźnie uczuciowej, fizycznej oraz ekonomicznej – to z sali wychodzą już jako separaci. Ale uwaga! Z tego trybu mogą korzystać tylko ci, którzy nie mają dzieci poniżej 18 roku życia.

Gdy małżeństwo ma nieletnią progeniturę lub nie zgadza się ze sobą w kwestiach mieszkaniowych, majątkowych, czy jakichkolwiek innych, opłata w wysokości 100 zł staje się nieaktualna, podobnie jak tryb nieprocesowy.

A w trybie normalnym sąd kasuje tyle samo, co za rozwód, czyli 600 zł. I słusznie, bo proceduralnie rozprawa niczym nie różni się od rozwodowej.

Wbrew nadziejom kościelnych statystyków, instytucja separacji nie zastąpiła grzesznych rozwodów. W pierwszym roku jej funkcjonowania za separatów sądy uznały 1340 par. Tego samego roku „żegnam" powiedziało sobie na rozprawach rozwodowych 42 770 stadeł.

Potem liczba separacji z lekka rosła, by przyspieszyć i w 2005 r. uzyskać wartość 11 600 orzeczeń. Przy 67 578 rozwodach był to absolutny rekord, zagadka dla demografów i socjologów. Jedni składają ten skok na karb oczyszczania swojego statusu przez ludzi migrujących za granicę. Inni – chyba bliżsi prawdy – przyczyny doszukują się w nowelizacji ustawy o świadczeniach rodzinnych z września 2004 r. Przyznawała ona samotnym matkom dodatkowe świadczenia pieniężne, jako rekompensatę po zlikwidowanym w maju 2004 r. Funduszu Alimentacyjnym. A status separatki z dzieckiem predystynował do ubiegania się o tę kasę.

Po górce z 2005 r. liczba separacji spadała, a rozwodów rosła. Przez kilka kolejnych lat na ponad 60 tys. rozwodów przypadało niecałe 3 tys. separacji. Od kiedy jednak do władzy doszło PiS z jego nachalnym katolicyzmem, separacje jęły spadać na pysk. Im więcej wartości katolickich było w retoryce władzy i propagandzie TVP, tym bardziej kościelna wersja rozstawania się wychodziła z mody. W pandemicznym roku 2020 separacji orzeczono raptem 720. W roku 2022 na ponad 60 tys. rozwodów sądy rozseparowały ledwie 693 małżeństwa. Statystycznie, na sto rozwodów przypadała jedna separacja!

Tak mi dopomóż sejm

Ale jeszcze ciekawsze są dane dotyczące losów separatów. Trzeba bowiem wiedzieć, że separację sąd orzeka nie na ileś tam lat, ale bezterminowo, czyli tak, jak to jest w przypadku rozwodu. Rozwiedzeni mogą jeszcze raz się pobrać; separaci mogą wystąpić do sądu o zniesienie tego stanu prawnego, co powoduje powrót do statusu pełnoprawnego małżeństwa. Czyni tak co roku dosłownie parę par. Najśmieszniejsze, że ponad 90 proc. odseparowanych sądownie stadeł także zgłasza się do sądów – po to, by ze stanem separacji, czyli pozostawania w małżeństwie, skończyć raz na zawsze, czyli rozwieść się w cholerę.

W tym momencie powstaje problem prawny, na który tylko czekają stada adwokatów. Albowiem zdecydowana większość – realnych, a nie tych od świadczeń społecznych – separatów płci obojga uważa, że separacja, znosząc obowiązek kopulacji ze współmałżonkiem, daje im pełną swobodę nawiązywania innych relacji seksualnych.

Są jednak separaci i separatki, którzy mniemają, że ma być tak jak nakazuje separacja kościelna: czyli seksić się wolno albo ze ślubnym, albo z nikim. I jak taki zobaczy, że jego odseparowana, ale wciąż żona, ma gacha, to składa wniosek o rozwód z powodu zdrady małżeńskiej.

Oczywiście z orzeczeniem jej winy. Sądy wyrokują w takich przypadkach od ściany do ściany. Co dowodzi tylko tego, że liczący 25 lat idiotyzm prawny, zamiast coś uprościć, stworzył nowe problemy. Fakt, że dla mikroskopijnej grupy obywateli, ale zawsze.

Adwokaci od rozstań rzadko kiedy informują klientów, którzy złożyli w sądzie kwity separacyjne, że mogą zrobić coś mądrzejszego. Wszak w trakcie sprawy sądowej żądanie separacji można zmienić na żądanie rozwodu. Ale tylko do wydania wyroku przez sąd pierwszej instancji. Gdy sędzia separację orzeknie, będzie za późno. Ba, prawo stanowi, że „jeżeli jeden z małżonków żąda orzeczenia separacji, a drugi orzeczenia rozwodu i żądanie to jest uzasadnione, sąd orzeka rozwód".

Dla władzy, która chce stawiać chore prawo z głowy na nogi, najprościej byłoby znowelizować kodeks rodzinny i opiekuńczy. I uznając, że instytucja separacji okazała się być zupełnie bez sensu, wykreślić to nieporozumienie z polskiego prawa.

Choćby dlatego, że ćwierć wieku obowiązywania tego durnego przepisu dowiodło, że – dla większości wnioskujących o nią – separacja stała się całkiem niepotrzebną pierwszą instancją rozwodową. Służy głównie dwukrotnemu wyciąganiu pieniędzy od rozstających się osób. Nie załatwia żadnej kwestii społecznej. A na dodatek absorbuje czasowo sądy, które powinny zajmować się nadzorem nad prawdziwą patologią rodzinną.

TOMASZ BOROWIECKI

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl b68685da26

Dziurawe schody do nieba

Jak sensownie pomagać w umieraniu.

Wskutek kilkunastu lat zaniedbań hospicjów – mało pieszczotliwie nazywanych umieralniami – na rynku brakuje specjalistów z tej trudnej gałęzi medycyny. W Polsce jest około 560 lekarzy specjalistów medycyny paliatywnej i 6 tys. pielęgniarek wyspecjalizowanych w tej dziedzinie.

Ministerstwo Zdrowia pod kierownictwem Izabeli Leszczyny, w nietypowej dla tego resortu szczodrobliwości, postanowiło pochylić się nad pacjentami, którzy wymagają pomocy nie w zdrowieniu, a w umieraniu. 20 marca MZ zapowiedziało długo wyczekiwane zniesienie limitów w opiece paliatywnej i hospicyjnej. To krok w dobrą stronę, ale warto zachować dalece idącą ostrożność w optymizmie.

Po światowemu

O tym, że nie wszyscy potrzebujący mają dostęp do odpowiedniej opieki paliatywnej i hospicyjnej, wie każdy, kto przygarbiony chorobowym zniedołężnieniem zapukał do drzwi NFZ. Pacjenci na miejsce w hospicjum stacjonarnym muszą czekać wiele miesięcy. Większość umiera w domu. Nieco lepiej wygląda dostępność do świadczenia hospicyjnej opieki domowej, chociaż i tu sytuacja jest daleka od idealnej. Ograniczenia nie dotyczyły do tej pory tylko świadczeń paliatywnych i hospicyjnych dla dzieci i młodzieży.

Według definicji Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) opieka paliatywna jest działaniem „mającym na celu poprawę jakości życia pacjentów i ich rodzin stojących w obliczu problemów związanych z zagrażającą życiu chorobą, poprzez zapobieganie i łagodzenie cierpienia, dzięki wczesnemu wykrywaniu, ocenie i leczeniu bólu oraz problemów fizycznych, psychospołecznych i duchowych". W komentarzu do definicji z 2020 r. WHO wymieniła najczęstsze schorzenia, jakie mogą wymagać opieki paliatywnej. Są to: nowotwory, choroby układu krążenia, przewlekłe choroby układu oddechowego, niewydolność nerek, przewlekłe choroby wątroby, choroby neurologiczne (stwardnienie rozsiane, choroba Parkinsona), cukrzyca, reumatoidalne zapalenie stawów, otępienie, wady wrodzone, AIDS, lekooporna gruźlica… Lista jest długa, ale – co ważne – nie jest zamknięta, a zatem według WHO rozpoznanie choroby nie jest kryterium kwalifikacji do OP.

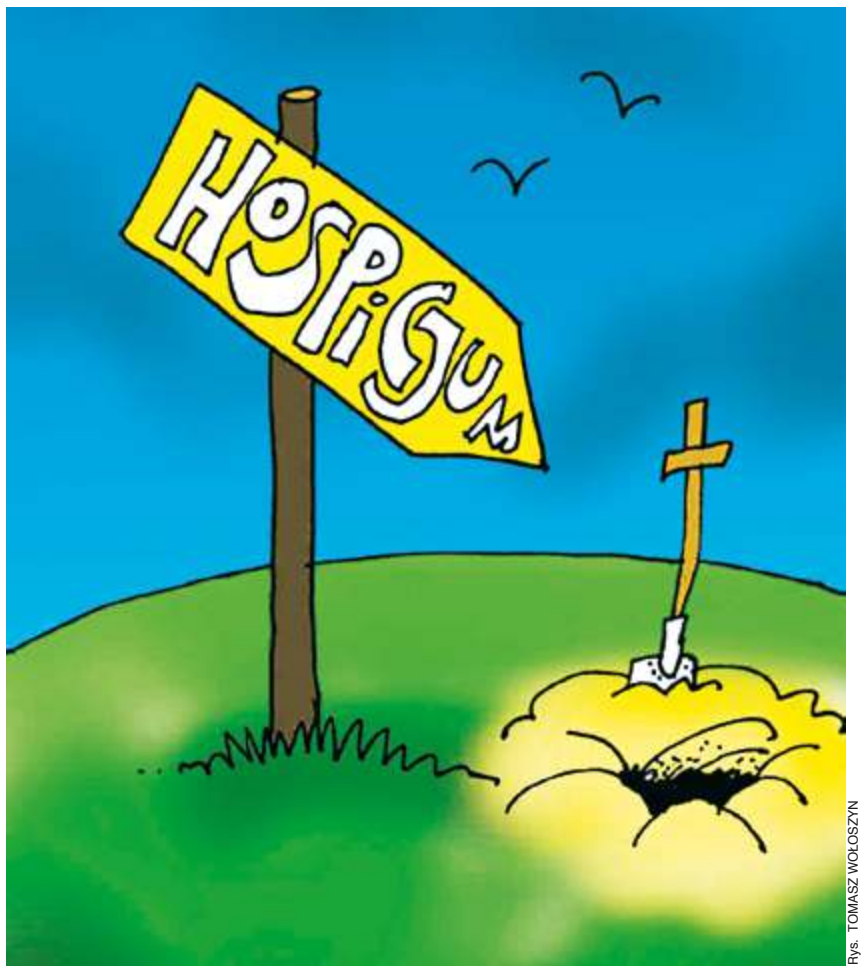

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

… i po naszemu

Ścisłe wytyczne zamkniętej listy w sprawie świadczeń gwarantowanych z zakresu opieki paliatywnej i hospicyjnej (OPH) obowiązują natomiast w Polsce.

W wykazie chorób uprawniających do tej formy opieki znajduje się zaledwie garstka schorzeń: AIDS, następstwa chorób ośrodkowego układu nerwowego, niektóre rodzaje niewydolności oddechowej, kardiomiopatia, rany przewlekłe i owrzodzenia odleżyn, a także nowotwory. Rozporządzenie ministra zdrowia jest więc niezgodne z definicją opieki paliatywnej WHO. Drugą istotną niezgodnością jest fakt, iż opieką paliatywną w Polsce objęci są wyłącznie pacjenci – pomoc dla rodzin osób umierających nie jest uwzględniona w aktach prawnych, wycenie świadczeń oraz warunkach realizacji Narodowego Funduszu Zdrowia. A to dopiero początek złych wiadomości.

W 2019 r. Najwyższa Izba Kontroli w obszernym raporcie wypunktowała wszystkie bolączki tego zmurszałego sektora opieki medycznej. Sama lektura może przyprawić o raka. W większości województw w paliatywnej opiece stacjonarnej nie zapewniono minimalnej liczby łóżek zalecanej przez Europejskie Towarzystwo Opieki Paliatywnej (EACP), tj. 80–100 łóżek na 1 mln mieszkańców. Przeprowadzona przez NIK analiza dostępności wykazała, że dotychczasowe działania na rzecz poprawy sytuacji były nieskoordynowane i fragmentaryczne, dlatego mimo znacznego wzrostu nakładów na OPH hospicjom wciąż brakowało środków na prowadzenie działalności. Zniesienie limitów NFZ na opiekę paliatywną i hospicyjną to zdjęcie tylko jednego garba z grzbietu placówek świadczących tą pomoc.

Nadwykon

Działania podjęte przez minister Leszczynę, choć chwalebne, paradoksalnie mogą wskazywać, że resort powieli wskazane przed pięcioma laty błędy.

Dotychczas, jeśli jakiś placówka oferująca OPH przyjęła chorych więcej, niż przewidywała jej umowa z NFZ, fundusz zwracał środki za tzw. nadwykonania, ale dopiero w kolejnym roku rozliczeniowym, a i to często z oporami. Kiedy fundusz tracił czas na przekomarzanie się z placówkami, te zbierały datki, żeby zapewnić opiekę dodatkowym pacjentom. Zniesienie limitów w OPH oznacza, że Narodowy Fundusz Zdrowia zapłaci za wszystkich pacjentów w danym roku. To jednak wcale nie rozwiązuje problemu.

NFZ z dumą poinformował, że obecnie trwają prace nad projektem nowej taryfy świadczeń gwarantowanych oraz aktualizacja ich koszyka w opiece paliatywnej i hospicyjnej. Dowcip w tym, że NFZ najczęściej proponuje stawki, które odpowiadają jemu, a nie placówkom medycznym, nie uwzględnia podwyżki płacy minimalnej czy inflacji, nie wspominając o takich drobiazgach, jak nakłady na obsługę gastronomiczną czy personel sprzątający.

Wiek większości z nich to około 55 lat.

Limity to nie wszystko

Dodajmy, że w kraju w 2019 r. funkcjonowało 448 hospicjów domowych dla dorosłych, 71 hospicjów domowych dla dzieci, 191 jednostek stacjonarnych (oddziały medycyny paliatywnej i hospicja stacjonarne) oraz 155 poradni medycyny paliatywnej. Krótko mówiąc, braki kadrowe są bardziej niż uciążliwe, a specjaliści nie rozmnażają się przez pączkowanie.

Zniesienie limitów nie sprawi, że znajdzie się miejsce dla wszystkich potrzebujących opieki, jeśli nie pójdzie za tym znaczny wzrost finansowania i solidne uatrakcyjnienie zarobków personelu oddziałów paliatywnych. Potrzeba także natychmiastowego skoordynowania opieki paliatywnej z opieką długoterminową i pomocą społeczną, żeby pacjenci i ich opiekunowie nie musieli występować o pomoc do każdego z podmiotów oddzielnie – bo tak się składa, że czas ich nagli, a i bez tego mają co robić.

Minister Leszczyna pochwaliła się ostatnio rekordowymi nakładami w wysokości 3 mld zł na psychiatrię dziecięcą. Póki co próżno szukać podobnych deklaracji dla sektora opieki hospicyjnej. Szkoda, bo nakłady na opiekę paliatywną i hospicyjną to obecnie zaledwie 0,83 proc. budżetu NFZ. Powiedzieć, że wobec starzejącego się i schorowanego społeczeństwa są niewystarczające, to jak leczyć zgon plastrem.

IDALIA DUBICKA

Duda dzieciom

Ludzie liczący mniej niż 18 lat mają w Polsce status gorszy niż pies, którego przecież nie wolno trzymać na uwięzi.

„Prezydent, wsłuchując się w szczególności w głos rodziców, nie mógł zaakceptować rozwiązań prawnych umożliwiających dostęp dzieci poniżej osiemnastego roku życia do produktów leczniczych do stosowania w antykoncepcji bez kontroli lekarza oraz z pominięciem roli i odpowiedzialności rodziców" – podała kancelaria Dudy po tym, jak nie zgodził się na bezreceptową pigułkę „dzień po" dla kobiet mających więcej niż 15 lat.

Maluchy za kraty

Prezydent utrwalił tym schizofrenię polskiego prawa, w którym z jednej strony osoby niepełnoletnie mogą pracować, uprawiać seks, a nawet zmieniać stan cywilny, ale z drugiej – niczym ruchomości i nieruchomości – są własnością rodziców lub opiekunów prawnych.

Czy jednak ma sens czepianie się prezydenta za to, że z jego systemem wartości jest coś mocno nie tak?

Kilka tygodni temu Andrzej Duda mówił w rozmowie z Marcinem Wroną, że „ustawy, która wprowadza niezdrowe, chore i niebezpieczne dla dzieci zasady, nie podpisze". Zapomniało się biedactwu, że dwa lata temu złożył podpis pod ustawą przez media zwaną pieszczotliwie „maluchy za kraty". Prawo to powoduje bowiem, że 10-letniego gnoja można zapakować do poprawczaka razem z kolesiami, co mają po 17–18 lat.

Gdy nowelizacja była jeszcze w sejmie, wiceziobro Woś tłumaczył, że prawo zmieniane jest dlatego, że nie było zapisu o minimalnym wieku karanej poprawczakiem osoby, zatem przed sądem mogły stawać nawet dzieci sześcioletnie, które ukradną w sklepie batonik. Było to kłamstwo, które doktor prawa nazwiskiem Duda powinien błyskawicznie obczaić. W ówczesnym polskim prawie stało jak byk, że dopiero 13-latek ma ograniczone prawo do czynności prawnych, czyli może o sobie choć trochę decydować. Za wszystko, co robiły dzieciaki młodsze, odpowiedzialność ponosili rodzice. W nowelizacji nie chodziło więc o ochronę sześciolatków, ale o to, żeby można było zapuszkować do poprawczaka dzieciaka już 10-letniego. Duda ustawę podpisał bez mrugnięcia okiem.

Najbardziej ucieszył tym osadzonych w poprawczakach młodocianych, którzy z utęsknieniem czekali na 10-letnie zabaweczki idealnie nadające się do rozwiercania im anusów.

„Niezdrowe, chore i niebezpieczne dla dzieci" nie jest dla Dudy stosowanie wobec 10-latków takich środków przymusu bezpośredniego jak kajdanki, pasy bezpieczeństwa, czy karne izolatki, na co pozwala podpisana przezeń ustawa.

Ba, według niekrytykowanego przez prezydenta kodeksu karnego, nieletni to osoba, która w momencie popełnienia czynu zabronionego nie ukończyła 17 lat. Czyli ktoś, kto jest pomiędzy 17. a 18. urodzinami, może iść do pudła na resztę życia, ale pigułki „dzień po" kupić mu nie wolno.

Za szczególny skandal prezydent RP uważa pomysł, żeby pigułkę taką bez zgody rodziców mogła kupić 15-latka – ale nie wadzi mu, że istnieje lista czynów, za które ta sama 15-latka może stanąć przed sądem jak osoba dorosła i dostać 20 lat.

Ośmioletni osesek

Prawna pisowska pajdoschizofrenia z jednej strony pakuje maluchy za kraty, z drugiej zaś produkuje miliony dorosłych kalek społecznych nienadających się do samodzielnego funkcjonowania.

Zaczęło się od państwa Elbanowskich i ich krucjaty przeciwko obowiązkowi szkolnemu dla sześciolatków. PiS łyknęło wszystkie ich postulaty sprowadzające się do tego, że polscy rodzice wiedzą lepiej niż naukowcy i reszta cywilizowanego świata, że ich progenitura ucierpi od nauki. Potem partia Kaczyńskiego grzmiała na ówczesne Tuskowe sądy, że odbierały rodzinom dzieci z powodu biedy, nie bacząc na to, że jest pewien poziom nieporadności życiowej, która sprawia, że rodzice nie potrafią zadbać nawet o siebie, nie wspominając już o dzieciach. Kolejną fazą akcji „państwu wara od rodziny" stał się atak na służby socjalne w Niemczech, Austrii, Norwegii i Wielkiej Brytanii. PiS nie podobało się, że tamtejsi urzędnicy mają czelność bronić praw dziecka.

Gdy zrobiła się pandemia, rodzicom ok. 400 tys. ośmiolatków państwo zapłaciło za to, żeby siedzieli z małolatami w domu. Prawo mówi, że rodzic ma bezwzględny obowiązek opieki nad dzieckiem do lat siedmiu. Ośmiolatek mógł i może spokojnie siedzieć sobie sam w chałupie, a jak go co najdzie, to wolno mu połazić sobie po mieście, wsi czy czymkolwiek. I to połazić samodzielnie. Gdyby jednak dzieciak był młodszy, to też wcale nie musi łazić po ulicy z rodzicem, bo wedle prawa wystarczy mu towarzystwo kogokolwiek, kto ma więcej niż 10 lat. Przemycone jeszcze z czasów komuny przepisy dają dzieciom prawo do samodzielności. Nikt jednak o nim dzieciakom nie mówi. Wręcz przeciwnie – wszyscy małego człowieka tego prawa pozbawiają.

Pediatra weterynarz

Gdy się idzie do lekarza z 10-latkiem, to dla pana czy pani doktor dzieciak jest tym samym, co pies lub kot dla weterynarza. Lekarz osłucha i opuka delikwenta, ale pytania o samopoczucie i objawy zada rodzicowi. I tak wygląda to do ukończenia przez polskiego obywatela 18 lat. Dla medycyny dziecięcy pacjent jest tylko ciałem. I to takim, które nie czuje, nie myśli, nie pamięta i nie mówi – może z wyjątkiem „aaa" przy zaglądaniu w gardło.

13-latek może mieć swoje konto w banku i kartę do bankomatu. Może być właścicielem nieruchomości, dostać spadek lub darowiznę, być członkiem spółdzielni mieszkaniowej czy stowarzyszenia. Na wszystkich dotyczących go umowach musi się podpisać. Może też powiedzieć „nie" i się nie podpisać. Na dodatek młodzi ludzie mogą robić coś, co de facto sprawia, że stają się dorośli. Mogą pracować i zarabiać. Wszak pracownik młodociany to osoba, która ukończyła 15 lat, a nie przekroczyła 18.

Tylko co z tego, że 16-latek śmigający rowerem z pizzą wyciąga miesięcznie cztery kafle, skoro do lekarza z przeziębieniem musi się stawiać z rodzicem. Nieważne, że to on jest chory. Że potrafi równie dobrze jak dorosły opisać objawy i zrozumieć zapisane na kartce dawkowanie medykamentów. Ale nie – musi być z dorosłym, który oczywiście na wizytę w przychodni z nastoletnim dzieckiem bierze dzień wolny. Młodych ludzi mających 13–18 lat jest ok. 2 mln. Chorują w domu sami. Sami

eprasa.pl b68685da26

Krótki przewodnik po sukcesach prezydenta stolicy.

Dlaczego nie zagłosuję na Rafała Trzaskowskiego

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Warszawa od lat jest ofiarą swojej centralnej pozycji. W ostatnich dwóch dekadach stolica nigdy nie miała gospodarza z prawdziwego zdarzenia. Prezydentami Warszawy byli ludzie marzący o karierze w polityce krajowej (Lech Kaczyński, Rafał Trzaskowski) albo polityczni emeryci (Hanna Gronkiewicz-Waltz). Co gorsza, w najbliższych wyborach nie startuje nikt, kto miałby jakiekolwiek zadatki na faktycznego gospodarza miasta. Najważniejszym rywalem obecnego prezydenta jest Tobiasz Bocheński, spadochroniarz z Łodzi, który już typowany jest na kandydata w wyborach prezydenta RP. Wystawiona przez lewicę Magdalena Biejat jest wprawdzie rodowitą warszawianką, ale jedyny jej związek z samorządem polega na tym, że pięć lat temu kandydowała bez powodzenia do rady dzielnicy Praga-Północ. Pozostali kandydaci to już polityczny plankton. Przemysław Wipler z Konfederacji, który partie polityczne zmienia równie szybko jak miejsca zamieszkania: pochodzi z Piekar Śląskich, pół roku temu kandydował z Torunia, a dziś chce być prezydentem Warszawy. Janusz Korwin-Mikke, czyli polityczny klaun, który w ostatniej debacie wymachiwał pejzażami stolicy Korei Północnej i rzucał w Rafała Trzaskowskiego świerszczami. Z kolei kandydatura Romualda Starosielca świadczy wyłącznie o tym, że ruchy antyszczepionkowców i foliarzy są już na tyle silne, iż potrafią zebrać podpisy. Zresztą powyższych pięciu kontrkandydatów i tak nie ma znaczenia, bo najważniejszy jest ON.

Król Warszawy

Rafał Trzaskowski jest dowodem, że wybory w Warszawie nie mają nic wspólnego z wyborami lokalnymi, są jedynie przedłużeniem polityki krajowej.

W żadnej innej gminie tak fatalny włodarz nie miałby szans na reelekcję. Prezydentura Trzaskowskiego to ciąg nietrafionych inwestycji, marnotrawienia pieniędzy i utrudniania życia warszawiakom.

Czytelnikom, którzy mają to szczęście, iż nie żyją w Warszawie i nie są tym samym ofiarami dotychczasowej polityki Trzaskowskiego, przytoczę kilka najbardziej spektakularnych wpadek.

Strefa relaksu

Rafał Trzaskowski swą prezydenturę zaczął od zorganizowania mieszkańcom warszawskiego Śródmieścia miejsca wakacyjnego wypoczynku. Strefa relaksu – bo tak nazwano owe przedsięwzięcie – mieściła się na placu Bankowym (d. Dzierżyńskiego), czyli monstrualnej ośmiopasmowej jezdni w sąsiedztwie parkingu i tramwajowego torowiska. Na rozgrzanym asfalcie, w kłębach spalin, przy dźwiękach klaksonów i pisku tramwajów mieszkańcy stolicy mogli zrelaksować się na drewnianych paletach, które były głównym elementem „strefy relaksu". Całość kosztowała niemal milion złotych.

Plac z jajem

Strefa relaksu była wszakże instalacją tymczasową. Najważniejszym programem inwestycyjnym Trzaskowskiego jest tzw. Nowe Centrum Warszawy, czyli modernizacja Śródmieścia. Jedną z części programu było wytyczenie placu Pięciu Rogów. Skrzyżowanie Chmielnej i Brackiej było „do tej pory zalane asfaltem i zdominowane przez samochody" – informował ratusz w materiałach promocyjnych, dla pełnej grozy dodając, że „pojazdy parkowały w niedozwolonych miejscach", mieszkańcy narzekali, a piesi i rowerzyści „kluczyli" i „musieli uważać z każdej strony na przejeżdżające i parkujące samochody". Faktycznie dziś uważać nie muszą, ponieważ samochodom zakazano wjazdu, korkując tym samym wszystkie okoliczne ulice; na Placu Pięciu Rogów krzyżuje się ich aż – niespodzianka – pięć. Z kolei w lecie piechurzy przemykają pod ścianami okolicznych kamienic w poszukiwaniu cienia. Zrobienie w centrum miasta kolejnej betonowej pustyni kosztowało 15 mln zł, ale dla Trzaskowskiego było to najwyraźniej zbyt mało. Rok po otwarciu placu postawiono tam gipsową bryłę w kolorze niebieskim, która miała przypominać jajko. W środku zaś umieszczono głośnik wydający z siebie piski, że niby w jajku siedzi pisklak. Koszt: milion złotych.

Nowa Puławska

Ekologiczne frazesy, pod którymi kryje się zamiłowanie do ogromnych ilości betonu, to wizytówka obecnych władz stolicy. Poza wspomnianym placem Pięciu Rogów, morze betonu wylano również pod dawnym kinem Moskwa, na skrzyżowaniu Puławskiej i Rakowieckiej. Ulica Puławska jest najważniejszą arterią Mokotowa. Jej remont trwał rok i praktycznie sparaliżował funkcjonowanie dzielnicy. Mieszkańcy mieli nadzieję, że po latach oczekiwań dostaną ścieżkę rowerową i szerszy chodnik. Okazało się, że po remoncie ulica będzie wyglądać identycznie jak przed, gdyż – jak tłumaczyli portalowi TVN Warszawa urzędnicy miejskiego ratusza – „brakowało pieniędzy na szerszy zakres prac". Pieniądze jednak się znalazły, tyle że post factum – kilka tygodni temu radni m. st. Warszawy wpisali do Wieloletniej Prognozy Finansowej środki na kompleksowy remont Puławskiej. Przebudowa rozpocznie się w 2026 r., czyli po zakończeniu obecnego remontu torów tramwajowych. Oczywiście, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, bo niemal wszystkie inwestycje w Warszawie notują gigantyczne opóźnienia. Tylko beton na miejskich placach wylewa się terminowo.

Tramwaj donikąd

Podczas gdy Górny Mokotów paraliżuje remont Puławskiej, na Dolnym trwa budowa tramwaju na Wilanów – drugiej sztandarowej inwestycji Rafała Trzaskowskiego. Nie ma tu miejsca na wymienienie wszystkich wpadek podczas budowy tramwaju – notoryczne zalewanie osiedli, przecinanie tajnych kabli prowadzących do ministerstwa spraw wewnętrznych, pozostawienie rozkopanego placu Unii Lubelskiej (od roku nic się tam nie dzieje) itd. Największym jednak absurdem było podzielenie tramwaju na Wilanów na dwie oddzielne inwestycje, na które rozpisano dwa przetargi wygrane przez dwie różne firmy. Pierwsza część to właściwy tramwaj na Wilanów, zaś druga to tramwaj na ul. Gagarina. Otóż tramwaj na Gagarina jest już skończony, ale od paru miesięcy nic tamtędy nie jeździ, gdyż łącznik między ul. Gagarina, a resztą warszawskiej sieci tramwajowej, jest elementem tramwaju na Wilanów. Mieszkańcy Dolnego Mokotowa stoją więc w korkach i podziwiają rdzewiejące torowisko.

Naćpana Brzeska

Podejście do problemu patologii społecznych jest kolejną cechą charakterystyczną prezydentury Trzaskowskiego. Przykładem niech będzie refleksja prezydenta miasta o jednej z najbardziej zapuszczonych ulic – Brzeskiej: „To miejsce newralgiczne. Sam wpadam tam na pyzy, ale po nocy się nie szlajam. Zdaję sobie sprawę, że sytuacja bezpieczeństwa jest tam wyjątkowa. Policja też zdaje sobie z tego sprawę". Tymczasem mowa o ulicy, gdzie w niemal każdej bramie można kupić dowolne narkotyki, kradzieże są na porządku dziennym, zaniedbane dzieci są widokiem powszechnym, a władzę dzierżą kibole na ogół mający za sobą odsiadki za kradzieże i rozboje. Mieszkający na modnych Kabatach Trzaskowski może się tam „nie szlajać", ale emeryci i rodziny wielodzietne żyjące w znajdujących się na Brzeskiej mieszkaniach komunalnych muszą jakoś dojść, choćby do sklepu. Dla nich prezydent miasta nie ma rozwiązania, a sytuacja w tym rejonie pogarsza się z roku na rok.

Kładka pijacka

Problem zawłaszczania przestrzeni publicznej przez pijaną część populacji zapewne będzie można też dostrzec na oddanej kilka dni temu kładce pieszo-rowerowej przez Wisłę. Prowadzi ona od Bulwarów Wiślanych będących największą w stolicy meliną pod otwartym niebem, do ul. Okrzei czyli przedłużenia okrytej złą sławą Ząbkowskiej. Sama inwestycja, jak to u Trzaskowskiego, była droga (120 mln zł), oddana po terminie i wybitnie niewygodna w użytkowaniu. „Trzaskowski tą kładką otwiera oczy niedowiarkom. Pokazuje, że można wybudować nawet coś tak prostego jak most pieszorowerowy i tak to dokumentalnie spartolić. Kładka kończy się po obu stronach ruchliwą drogą bez żadnej (!) integracji z miastem, a ruch rowerowy nie jest odseparowany w żaden sposób od pieszego" – skomentował aktywista miejski Jan Śpiewak. Warto dodać, że kładka zabezpieczona jest jedynie niskim płotkiem, przez który pijani bywalcy bulwarów będą mogli wypadać prosto do Wisły.

• • •

To wszystko to jedynie drobny wycinek działalności Rafała Trzaskowskiego. Jest jeszcze więcej inwestycji wiecznie niedokończonych (m. in. plac Powstańców Warszawy, plac Trzech Krzyży) oraz mniej spektakularnych, bo zlokalizowanych w dzielnicach peryferyjnych, miejskich absurdów. Ponadto brak mieszkań komunalnych, rosnąca liczba wakatów wśród nauczycieli, fatalne skomunikowanie nowych osiedli, ciągłe cięcia rozkładów komunikacji zbiorowej itd.

Na koniec słów kilka o wizerunku samego prezydenta. Kilka lat temu w rozmowie z Kubą Wojewódzkim zabłysnął on stwierdzeniem, iż jest „dupiarzem". Ostatnio postanowił radykalnie odmienić swój wizerunek – opublikował film, na którym w kuchni, rozparty na krześle składa warszawiakom życzenia, podczas gdy jego żona stoi przy garach. Wyglądało to jak tandetna amerykańska reklama wyposażenia kuchni z lat 50. i spodobało się chyba tylko Tomaszowi Lisowi, który zapiał: „Filmik z domu państwa Trzaskowskich słodki i sympatyczny. Awantura o niego świadczy wyłącznie o zidioceniu części tzw. środowisk progresywnych i postępowych". Miejmy więc nadzieję, że nadejdą w Warszawie czasy, kiedy na ludzi pokroju Trzaskowskiego będzie głosować wyłącznie pragnący słodyczy i sympatii Tomasz Lis.

MAREK SANOWSKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

przyjmują leki. Sami mierzą gorączkę. Ale na wizytę kontrolną znów muszą dymać z mamusią lub tatusiem. Za dni nieprzepracowane przez rodziców płaci gospodarka, czyli my wszyscy. Kasa na to idzie w setki milionów złotych rocznie. Tylko dlatego, że nieletni pacjent jest dla polskiej służby zdrowia kotem czy świnką morską.

Gdy młody człowiek rozpocznie 15. rok życia, państwo daje mu prawo do uprawiania seksu, z kim chce. Gdyby jednak korzystający z tego prawa 17-letni młodzian zauważył niepokojący wyciek z cewki moczowej, do lekarza musi zabrać ojca lub matkę. Według przepisów nieletni nie mają bowiem nawet tak podstawowego prawa, jak to do tajemnicy lekarskiej.

Państwo chwali się, że przecież zmieniło niedawno przepisy i teraz jeśli pacjentka jest niepełnoletnia, ale ma skończone 16 lat, ma prawo decydować o swoim leczeniu. Decyzja nie należy już tylko do jej opiekuna prawnego. Obok tego mamy – pokazujący, że jednak 16-letnia pacjentka jest idiotką – zapis mówiący, że „pacjentka w tym wieku powinna otrzymać informacje o swoim stanie zdrowia w sposób przystępny i zrozumiały". Tylko co z tego, że nastoletnie dziewczę może jakiejś formy terapii nie chcieć, skoro wciąż nie jest dla lekarza pacjentką. Ten bowiem jest zobowiązany jej opiekunowi ustawowemu przedstawić informację medyczną. Czyli choćby to, czy panna uskutecznia seks waginalny, czy może stan jej odbytu wskazuje, że ten drugi też.

Ważne powody dorosłości

Dziewczyny taki stan mogą jednak zmienić. Prawo daje im możliwość zostania dorosłymi, gdy tylko skończą 16 lat. Pod warunkiem jednak, że wyjdą za mąż. W państwie polskim 17-latka z obrączką na ręku różni się zasadniczo od kumpeli stanu wolnego. Jedna może sama iść do ginekologa, a ta druga jeszcze przez rok musi z mamusią. To prawo, nawiasem mówiąc, nadaje się do analizy psychiatrycznej. Bowiem „nie może zawrzeć małżeństwa osoba nie mająca ukończonych lat osiemnastu. Jednakże z ważnych powodów sąd opiekuńczy może zezwolić na zawarcie małżeństwa kobiecie, która ukończyła lat szesnaście, a z okoliczności wynika, że zawarcie małżeństwa będzie zgodne z dobrem założonej rodziny". Nie może, więc może – czy to nie wyczerpuje znamion schizofrenii?

Większość opisywanych tu uprawnień młodych ludzi pochodzi jeszcze z czasów, w których dzieci traktowano poważnie i przygotowywano je do bycia dorosłymi. Wszystkie ograniczenia zaś, to zdobycz ostatnich 30 lat i społeczeństwa, w których chłopczyki mieszkają z mamusiami i tatusiami do czterdziestki, a dziewczynki tylko do trzydziestki.

O ile jednak u nas infantylizowanie młodych ludzi postępuje, to na świecie niekoniecznie. Nawet w Unii pojawiają się kraje, które wbrew powszechnemu zdziecinnieniu pozwalają, by osoby poniżej osiemnastki decydowały. I nie chodzi o to, że prawie we wszystkich krajach UE 15-latka kupuje pigułkę „dzień po" bez recepty. Na Malcie i w Belgii, 16-latkowie mogą głosować w wyborach do Parlamentu Europejskiego. W Austrii i Grecji osobom, które skończyły 17 lat, wolno głosować w wyborach krajowych. Nasze 17-letnie dzieciaczki, tak dla rodziców, jak i polityków oraz prezydenta Dudy, są – widać – jakieś niedorozwinięte.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl b68685da26

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Apeluję, by nie ulec medialnej operacji specjalnej rządu i nie dać się zwieść pozorom; nie dać się oszukać ich medialnym przekazom i ich działaniami, którymi depczą prawo, konstytucję i najbardziej podstawowe zasady ludzkiego traktowania.(…)* ***Choćby wszystkie agencje bezpieczeństwa na świecie wysyłały do nas swoich funkcjonariuszy, radość, którą wszystkim umęczonym i udręczonym niesie Zmartwychwstały Chrystus, pozostanie i będzie w naszych sercach.***

dr Jolanta Hajdasz, Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Radio Maryja 27 marca

■ *Dziś mamy do czynienia nie tylko z głupotą, ale także z masowym ogłupianiem. To, co zawsze miało służyć mądrości, niekiedy służy ogłupianiu. Niepokoi to, co robi „ministra" edukacji Barbara Nowacka czy też minister kultury podpułkownik Bartłomiej Sienkiewicz, który wcześniej wykazywał się w resortach siłowych. Głupota, bywa, że pod płaszczykiem miłosierdzia i nieosądzania nikogo, wdziera się do Kościoła. Nicolas Gomez Davila już dawno zauważył, że* ***„domieszka kilku kropel chrześcijaństwa do lewicowych poglądów zmienia głupca w głupca doskonałego".*** *Tym bardziej módlmy się o mądrość, Bożą mądrość.*

ks. prof. Dariusz Kowalczyk SJ, idziemy.pl, 22 marca

■ *Przez Polskę bardzo szybko przechodzi* ***walec rewolucji kulturowej*** *i kluczowym celem tych działań jest przede wszystkim chaos prawny w państwie, żeby nie było wiadomo, kto za co odpowiada. Jeżeli chodzi o wyroki w aspekcie art. 196 Kodeksu karnego, czyli obrazy uczuć religijnych, one od zawsze były tendencyjne.(…)* ***Prowokatorzy wiedzą, że Kościół ma silne oddziaływanie na kulturę, że jest jej filarem i w związku z tym rozpoczęto demontaż państwa.***

dr Artur Dąbrowski, „Nasz Dziennik", 18 marca

■ *Jesteśmy razem przekonani, że jedną z najważniejszych przyczyn współczesnych kryzysów tego świata jest* ***właśnie widzimisię, które ludzie błędnie uważają za głos własnego sumienia.*** *A poza tym także dominujący indywidualizm, któremu towarzyszą filozofie materialistyczne ubóstwiające człowieka oraz wprowadzające wartości doczesne i materialne* ***w miejsce zasad nadprzyrodzonych.***

abp Stanisław Gądecki, Jasna Góra, 25 marca

■ *Wielki Tydzień, wymowne to jest...* ***Pasja Ministra ZZ. Teraz jest biczowanie, opluwanie, cierniem koronowanie, krzyżowanie.*** *Panie Ministrze, i tak Pan już wygrał. Dużo zdrowia i wytrwałości!*

Niezależne Stowarzyszenie Prokuratorów Ad Vocem, platforma X, 26 marca

KLECHA

Kościelna operacja specjalna

Tylko na jeden towar płynący z Zachodu do Rosji nie nałożono żadnych sankcji: na eksport wiary rzymsko-katolickiej.

W kilkanaście miesięcy po ataku Rosji na Ukrainę; po tym, jak naród, wspomagając sąsiada, jął się gotować do wojny z Moskalami, kupując czołgi, śmigłowce, samoloty i inne takie; po tym, jak każdy proputinowski Rosjanin stał się w Polsce persona non grata; po tym, jak MSZ wręcz zakazał podróżowania do Federacji Rosyjskiej – do Królewca, dawniej Kaliningradu, a jeszcze dawniej Koenigsberga pojechał kardynał Nycz.

Sankcje z kropidłem

W grudniu 2023 r. Nycz nawiedził rosyjską ziemię, aby uroczyście otworzyć Dom Pielgrzyma – miejscową inwestycję Kościoła katolickiego zbudowaną za pieniądze niepochodzące z Rosji. Specjalnie nie dziwi, że w pokropku i przecinaniu wstęgi Nyczowi towarzyszyli ambasador Watykanu w Rosji abp Paolo Pezzi i jego biskup pomocniczy Nikołaj Dubinin. Ciekawy jednak jest udział w wyznaniowej imprezie odbywającej się na nieprzyjaznej ziemi ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej w Federacji Rosyjskiej Krzysztofa Krajewskiego.

W kazaniu kard. Nycz wyraził wdzięczność proboszczowi tamtejszej parafii za zaproszenie go do tego miasta, „aby razem z wami uczestniczyć" w tej uroczystości. Nawet słowem nie wspomniał o wojnie.

Dwa dni wcześniej w polskich kościołach był Dzień Modlitwy i Pomocy Materialnej Kościołowi na Wschodzie. Cała taca z tego dnia miała pójść na zbożny cel szerzenia katolicyzmu na terenach byłego ZSRR. Czyli także na Ukrainie. Dlaczego zatem Nycz nie pojechał pod Charków, tylko pokazał, jak katolicy poprzez inwestowanie w Rosji dokładają się do kupowanych przez Moskwę w Teheranie dronów?

Bo kardynał nie pojechał do Rosji, żeby reprezentować polskie duchowieństwo, ale żeby udowadniać Kremlowi, że polityka Watykanu w stosunku do Federacji jest cacy. Co jest interesujące, bo przecież polscy katolicy od zawsze mieli ewangelizowanie ziem poradzieckich gdzieś.

Widać to po kasie. W poprzednich latach w doroczne grudniowe dni modlitwy o nawrócenie ruska Kościół zbierał od wiernych koło 2,5 mln zł; w 2023 r., pewnie ze względu na inflację, zgarnął nieco ponad trzy bańki. Jeśli komuś wydaje się, że to dużo, to się myli. Za taką kwotę można postawić co najwyżej półtorej średnio wypasionej plebanii. Nawet na Syberii. Poza tym Kościół głosi wszak, że na msze chadza jakieś 30 proc. Polaków. Skoro tak, to w niedzielę, w którą odbywa się zbiórka, powinno nawiedzić kaplice, sanktuaria, bazyliki większe i mniejsze oraz wszystkie inne lokale duszpasterskie z 10 milionów luda. Gdyby każdy sypnął złotówką, uzbierałoby się 10 baniek.

Rusek katolik?

Polski katolicki lud boży nieskory jest do pomagania katolikom z byłego ZSRR. I z pewnością nie wynika to z wnikliwego wsłuchiwania się w słowa papieża Franciszka. Jeszcze przed agresją Rosji na Ukrainę papieskie stanowisko w kwestii krzewienia katolicyzmu na Wschodzie sprowadzało się do stwierdzenia, że „prozelityzm jest czystą głupotą". Bergoglio dodał, że „to nie ma sensu, trzeba się poznawać, słuchać nawzajem i szerzyć znajomość otaczającego świata". Gdyby ktoś nie wiedział, czym jest ten prozelityzm, to wypada wyjaśnić, że to podbieranie sobie nawzajem wiernych przez różne Kościoły i związki wyznaniowe. A żeby było jeszcze śmieszniej, prozelityzm jest zakazany przez kodeks prawa kanonicznego.

Nie po to jednak dawno temu Wojtyła powołał kilka nowych diecezji w Rosji, żeby stan pogłowia katolików tkwił w letargu. Nowi proboszczowie i biskupi mieli za zadanie przefarbowywanie na katolicyzm duszyczek skażonych prawosławiem. Wkurzało to skutecznie Cerkiew prawosławną, a ponieważ w putinowskiej Rosji jest sojusz tronu z ołtarzem, to i państwo stawało katolicyzmowi wbrew.

Dziś konia z rzędem temu, kto odpowie na pytanie o pogłowie rosyjskich katolików. Watykan podaje liczbę 1,3 mln osób; działający tam latami arcybiskup Tadeusz Kondrusiewicz mówił o 500–600 tys. Rosyjskie owieczki są przyporządkowane prawie 300 parafiom, w których pracuje 150 księży i przeszło 340 zakonnic. Co trzeci klecha i zakonnica są Polakami.

Kościół, nie chcąc wkurzać Cerkwi, słowo „prozelityzm" zastąpił lepiej brzmiącą „ewangelizacją". Obie instytucje podpisały stosowne kwity i w ten sposób zakończono wojnę polsko-ruską pod biało-żółtymi flagami państwa Watykan.

Ruscy przestali wydalać polskich księży. W zamian za to nasze klechy oduczyły się tego, co w Polsce robią wszyscy księża, czyli politykowania. Dziś, mówiąc o wojnie w Ukrainie, żaden nie nazwie jej inaczej niż operacją specjalną.

Rys. TOMASZ WIATER

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Watykańska Dykasteria Nauki i Wiary wydała wyrok w sprawie księdza, który ponad 20 lat temu molestował dzieci we wsi Lubrza (woj. opolskie). Stolica Apostolska uznała go za winnego, jednak – jak poinformował Sąd Diecezji Opolskiej – duchowny nie został wydalony ze stanu kapłańskiego. Ksiądz K. był proboszczem parafii w Lubrzy do 2004 r. Jego ofiara – Katarzyna z reportażu TVN24 „To ja byłam winna" – była przez niego molestowana, gdy była dzieckiem. Kiedy zdecydowała się opowiedzieć dorosłym o krzywdach wyrządzonych jej przez duchownego, nikt nie dał jej wiary. Cała wieś odwróciła się od niej i jej rodziny. Kobieta skontaktowała się z telewizją w 2019 r. Nie była w stanie opowiedzieć swojej historii przed kamerami. To, co zrobił jej ksiądz oraz reakcję dorosłych opisała w liście. W toku dziennikarskiego śledztwa okazało się, że ofiar jest więcej. Ksiądz z Lubrzy trafił pod lupę dykasterii, a ta – na podstawie materiału zebranego przez Sąd Diecezji Opolskiej – uznała go za winnego wykorzystywania dzieci. W ramach nałożonej kary klecha do końca życia będzie przebywał w wyznaczonym przez biskupa miejscu, ma także zakaz publicznego sprawowania posługi. Jak poinformował ks. Joachim Kobienia z diecezji opolskiej, na wymiar kary wpływ miał stan zdrowia duchownego i konieczność stałej nad nim opieki.

✚ Archidiecezja warszawska poinformowała, że ksiądz Łukasz Kadziński został odsunięty od „prowadzenia jakiejkolwiek działalności duszpasterskiej" celem m.in. zapobieżenia „dalszemu zgorszeniu". Odsunięcie duchownego od posługi to efekt wewnętrznego śledztwa, które wszczęto w reakcji na oskarżenia kierowane pod adresem duszpasterza. A tych było bez liku. O Kadzińskim zrobiło się głośno, gdy Paweł Kostowski, członek prowadzonej przez niego wspólnoty, nagrał film, w którym oskarżył duchownego o manipulacje, zagrywki psychologiczne, a nawet inwigilację. Do archidiecezji skierował również list. Kostowski wskazywał na ogromny wpływ, jaki ksiądz miał wywierać na wiernych. Ks. Kadziński miał śledzić działania członków wspólnoty, jawnie sprzeciwiać się nauce Kościoła katolickiego czy współpracować z suspendowanym ks. Natankiem. Prócz tego pojawiły się oskarżenia o przemoc fizyczną i słowną, naruszenie celibatu czy nadużycia finansowe. Dochodzenie kanoniczne trwało od lipca 2023 r. Jak poinformowała archidiecezja, zgromadzona dokumentacja zostanie przekazana do dykasterii kurii rzymskiej.

✚ 21 marca w parafii św. Andrzeja Apostoła w Choczu (woj. wielkopolskie) doszło do skandalu podczas pogrzebu 25-letniego Szymona. Prowadzący nabożeństwo franciszkanin, ojciec Dobromił, miał krytykować zmarłego. W trakcie kazania wierni usłyszeli, że Szymon był grzesznikiem, a śmierć jest pokutą za jego występki. Winą ojciec Dobromił obarczył rodziców zmarłego, a jako pokutę dla nich wyznaczył wpłacenie darowizny na rzecz osób poszkodowanych w wypadkach samochodowych. Rodzina 25-latka powiadomiła o sprawie przełożonych ojca Dobromiła oraz kurię diecezji kaliskiej. Według nieoficjalnych ustaleń, franciszkanin ma zostać przeniesiony do innej parafii. Sam o. Dobromił odniósł się do sytuacji w swoich social mediach, publikując oświadczenie: „Chciałbym przeprosić za moje słowa wypowiedziane w czasie pogrzebu śp. Szymona Urbaniaka i za ból, jaki sprawiłem Rodzinie i innym uczestnikom tej ceremonii w naszej parafii 21 marca. Składam także całej Rodzinie i wszystkim bliskim wyrazy współczucia z powodu śmierci śp. Szymona" – napisał oschle.

✚ 27 marca do domu Pana w wieku 72 lat odszedł ksiądz-nacjonalista Roman Kneblewski. Jak poinformowała bydgoska kuria, „był duszpasterzem środowisk twórczych, kapelanem Kurkowego Bractwa Strzeleckiego oraz asystentem kościelnym Katolickiego Stowarzyszenia »Civitas Christiana«". Szerszej publiczności ks. Kneblewski dał się poznać jako fan narodowców, który nie bawiąc się w subtelności, wprost wyrażał poparcie dla faszyzmu. Społecznościowe konta księdza Kneblewskiego były wielokrotnie blokowane za promowanie mowy nienawiści. Za pośrednictwem dwóch kont – prywatnego i publicznego – duchowny gloryfikował ONR oraz nawoływał do nienawiści wobec uchodźców i wyznawców islamu. W styczniu 2023 r. Kneblewski opublikował w social mediach zdjęcie dzieci ubranych w mundurki Hitlerjugend, które zbierają pieniądze do puszki. Tym samym porównał wolontariuszy WOŚP do nazistowskiej formacji młodzieżowej. Bepe Krzysztof Włodarczyk nałożył wówczas na ks. Kneblewskiego całkowity zakaz wypowiedzi medialnych na okres roku.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl b68685da26

Misja

Mimo wielu lat od nastania pokoju religijnego, przy polskiej wierchuszce kościelnej cały czas działa zespół wspomagający wschodnich katolików. Episkopat twierdzi, że wspomaganie katolicyzmu w ZSRR rozpoczęło się zaraz po II wojnie światowej, tyle że w realiach komunistycznej rzeczywistości nie funkcjonowało ono formalnie. Kościelni opowiadają teraz o martyrologii, którą przechodzili, przemycając do ZSRR literaturę religijną.

Kiedy jednak 4 czerwca skończył się w Polsce komunizm, to już 30 grudnia 1989 r. prymas Glemp powołał Zespół Pomocy Kościelnej dla Katolików w Związku Radzieckim. Zespół był początkowo związany z Komisją Episkopatu ds. Misji. Miał przede wszystkim koordynować działania poszczególnych diecezji i zgromadzeń zakonnych, a także organizować pomoc osobową oraz rzeczową. Dzięki pomocy z Polski, parafie na Wschodzie otrzymywały mszały i lekcjonarze, książeczki do nabożeństwa, ornaty, prasę katolicką.

W marcu 1992 r., po rozpadzie ZSRR, zmieniono nazwę gremium na Zespół Pomocy Kościelnej dla Katolików na Wschodzie. W roku 2001 r. zespół został odłączony od Komisji Episkopatu ds. Misji, co miało zaakcentować fakt, że w krajach postradzieckich nie możemy mówić o misjach, lecz o pomocy odradzającemu się papizmowi. W marcu 2007 r. po raz kolejny nastąpiła zmiana nazwy: na Zespół Pomocy Kościołowi na Wschodzie.

Jak zwał, tak zwał, ale zespół już od 25 lat zbiera w grudniu hajs na rzecz swoich postradzieckich włości. Potem zaś opowiada, że dzięki pozyskanym środkom na Wschód jadą szaty i naczynia liturgiczne, tabernakula, dzwony, pomoce katechetyczne i książki religijne. Zespół opowiada również, że udziela wsparcia finansowego pracującym tam polskim księżom i zakonnicom, dofinansowuje działalność domów dziecka, opiekę nad bezdomnymi, ludźmi starszymi, czy domy samotnej matki. Pamiętajmy – to wszystko z tych 3 mln zł.

Cud rozmnożenia

W zeszłym roku taką kwotę zespół przeznaczył na realizację prawie 200 projektów. Największa pomoc – 1,6 mln zł – poszła do Ukrainy. Reszta – choćby na organizowanie letniego wypoczynku dla dzieci. Ksiądz szefujący zespołowi opowiadał, że zorganizowano i sfinansowano 30 takich grup. Chwalił się też, że jedna z zakonnic z Białorusi dostała 4 tys. zł, za które zorganizowała dzieciakom trzytygodniowe wakacje z wyżywieniem, wyjazdami i wycieczkami. Każdy, kto zna ceny i realia białoruskie, puka się w czoło.

Zespół chwali się też tym, że pięć lat temu założył „wolontariat syberyjski". Teraz na Syberię wolontariuszy się nie wysyła, więc jeżdżą ewangelizować do Kazachstanu. Tam zaś pomagają w remontach sal spotkań, domów dziecka, samotnej matki, seniora. Zespół informuje, że na prace remontowo-budowlane takich miejsc wydał w zeszłym roku 870 tys. zł. Znajomy Kazach stwierdził, że za takie pieniądze to można pomalować parę pomieszczeń, ale adaptacja choćby jednego budynku do celów, o których mówią księża, jest za tę kasę niemożliwa.

Wygląda zatem, że kwota deklarowana przez zespół pomocy jest tak niewielka po to, by nie wkurzać tamtejszych kościołów. Prawdziwy szmal pakowany przez polski Kościół w ewangelizacyjno-prozelityczny eksport katolicyzmu na Wschód jest kilkadziesiąt razy większy. A to, ile naprawdę wynosi, jest sekretem większym niż tajemnica spowiedzi.

Nie wspominając o tym, że ewangelizowanie Rosji jest jednym z powodów, dla których papież nie wiesza psów na Putinie, zaś kardynał Nycz błogosławi Królewcowi. Bo nie tylko antyamerykanizm Bergoglio nie pozwala mu dojrzeć w Rosji agresora. Franciszek przymyka oko na poczynania Kremla również dlatego, że nie chce stracić watykańskich aktywów w Federacji Rosyjskiej.

TOMASZ BOROWIECKI

Izrael – państwo bandyckie

Armia izraelska zamordowała siedmioro pracowników organizacji humanitarnej World Central Kitchen, która usiłuje ocalić mieszkańców Strefy Gazy przed śmiercią głodową, jaką intencjonalnie szykuje im rząd Izraela. Zamordowała celowo – co do tego nie może być wątpliwości – strzelając do kolejnych oznakowanych samochodów, które poruszały się trasą ustaloną wcześniej z armią.

Atak był rozciągnięty w czasie, a jego ostatnim aktem było dobicie rannych. To zbrodnia wojenna, której cel – zniechęcenie organizacji humanitarnych do pomocy głodującym Palestyńczykom – został osiągnięty: WCK wycofała się z Gazy.

Zbrodnie wojenne od lat uchodzą Żydom na sucho. Tak będzie i tym razem.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Premier Netanjahu specjalnie się nie przejął faktem, że jego kraj popełnił zbrodnię wojenną na oczach całej ludzkości. „Nasze siły nieintencjonalnie uderzyły w niewinnych ludzi. To się zdarza na wojnie" – ogłosił pogodnie.

Ta dezynwoltura nie dziwi. Izrael konsekwentnie morduje działaczy humanitarnych, którzy usiłują przeszkodzić mu w ludobójstwie, jakie od lat uprawia w Gazie – i nigdy nie poniósł za to najmniejszych konsekwencji.

Garść przykładów.

Iain John Hook, Brytyjczyk z oenzetowskiej Agencji dla Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie (UNRWA), kierujący odbudową obozu dla 13 tys. uchodźców w Jenin na Zachodnim Brzegu, został zastrzelony przez izraelskiego snajpera, kiedy usiłował poinformować władze izraelskie, że budynek stanowiący siedzibę UNRWA został zniszczony w trakcie wymiany ognia. Snajper tłumaczył potem, że Hook rozmawiał przez komórkę, która była łudząco podobna do pistoletu, a może granatu. Snajper strzelił Hookowi w plecy z ok. 20 m, kula przeszyła jamę brzuszną i wyszła w okolicach pępka. Współpracownicy Hooka natychmiast wezwali karetkę, jednakże została ona zatrzymana przez wojska izraelskie, wobec czego ranny wykrwawił się na śmierć.

Rachel Corrie, 24-letnia Amerykanka, działaczka Międzynarodowego Ruchu Solidarności (organizacji humanitarnej, pomagającej Palestyńczykom) została rozjechana przez 50-tonowy buldożer Caterpillar D9, kiedy usiłowała powstrzymać go przed zburzeniem domu Samira Nasrallaha, farmaceuty z Gazy. W domu, oprócz Samira, mieszkała jego żona i trójka dzieci, a także jego brat z żoną i dwiema córkami. Buldożer był prowadzony przez Izraelczyka w ramach uprawianej przez izraelską armię akcji burzenia domów podejrzanych o terroryzm. Zdaniem władz Izraela, w domu znajdowało się wejście do tunelu, którym szmuglowano broń z Egiptu. Tunelu nigdy nie znaleziono. Władze Izraela ogłosiły, że śmierć Corrie to „godny pożałowania wypadek", ale sama jest sobie winna, bo nierozsądnym jest stawanie na drodze buldożera.

Walijczyk James Miller – wybitny operator, uhonorowany m.in. pięcioma Nagrodami Emmy – zginął, kiedy kręcił dokument w obozie dla uchodźców w Rafah. Kula wystrzelona przez izraelskiego żołnierza trafiła go w krtań, gdy wraz z współpracownikami wychodził z domu jednej z palestyńskich rodzin. Wszyscy byli ubrani w hełmy i kamizelki z napisem „TV", nieśli też białą flagę. Kiedy padł pierwszy strzał, jeden z dokumentalistów zawołał: „Jesteśmy brytyjskimi dziennikarzami". 13 sekund później pada drugi strzał, która zabija Millera. Wszystko to dokładnie słychać na kręconym przez Millera w chwili śmierci filmie, dowodzącym zresztą, iż nie było żadnej „wymiany ognia" – jedyne strzały to te dwa, oddane przez izraelskiego żołnierza. Armia izraelska wydała oświadczenie: „Wyrażamy żal z powodu śmierci kamerzysty, który wkroczył w strefę działań wojennych. Kamerzysta, który świadomie wkracza w strefę działań wojennych naraża siebie i żołnierzy". Żołnierz, który zastrzelił Millera, nie został nawet postawiony przed sądem, ponieważ armia uznała, iż „nie sposób udowodnić", że to on strzelał.

Tom Hurndall, brytyjski aktywista Międzynarodowego Ruchu Solidarności, dostał kulę w łeb, kiedy usiłował ratować grupkę dzieci, które znalazły się na linii wymiany ognia między armią izraelską i palestyńskimi bojownikami. Izraelski snajper, który przestrzelił mu głowę w momencie, gdy Hurndall próbował osłonić dzieci przed kulami, z początku twierdził, że strzelał do człowieka, ubranego w strój militarny, ale potem przyznał, że facet miał na sobie odblaskowo pomarańczową kamizelkę, jaką w Gazie noszą działacze organizacji humanitarnych i inni cudzoziemcy. Hurndall zapadł w śpiączkę i zmarł dziewięć miesięcy później, nie odzyskawszy przytomności. Miał 22 lata. Izraelskie władze oświadczyły, że zmarł na zapalenie płuc.

Cengiz Akyüz, Ali Haydar Bengi, İbrahim Bilgen, Furkan Doğan, Cevdet Kılıçlar, Cengiz Songür, Çetin Topçuoğlu, Fahri Yaldız i Necdet Yıldırım zginęli podczas ataku izraelskiej marynarki wojennej na na statek Mavi Marmara, należący do Flotylli Wolności Gazy. Dziesiąty zamordowany w tym ataku, Ugur Süleyman Söylemez, zmarł w szpitalu po czterech latach przebywania w śpiączce. Flotylla był to konwój sześciu statków przewożących 663 działaczy z 37 państw. Jego celem było przerwanie izraelskiej blokady Gazy obejmującej także pomocą humanitarną. Armia Izraela tłumaczyła wówczas, że na pokładzie zaatakowanego statku znaleziono broń. Przeciwne zeznania złożyło kilkuset uczestników konwoju, w tym laureatka Pokojowej Nagrody Nobla z 1967 r. Mairead Maguire, były asystent sekretarza generalnego ONZ Denis Halliday, czy twórca postaci Wallandera, szwedzki pisarz Henning Mankell. Wszyscy zaświadczyli, że jedyną bronią, która znajdowała się w rękach członków konwoju zaatakowanego przez izraelskie wojsko na wodach międzynarodowych były drewniane kije.

• • •

Jedyne, co społeczność międzynarodowa może zrobić w tej sytuacji – to uznanie Izraela za państwo bandyckie i natychmiastowe embargo na eksport jakiejkolwiek broni obwarowane sankcjami analogicznymi do tych, które dotykają dziś Rosję. Embargo, którego przestrzegać będzie USA.

Jak myślicie: jak jest szansa, że to się wydarzy?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

WIARA CZYNI CZUBA

1. Hibatullah Achundzada, emir talibów i faktyczny władca Afganistanu, ogłosił w państwowej telewizji, że jego rząd przywraca kamienowanie kobiet za cudzołóstwo. „Możecie nazywać to naruszeniem praw kobiet, że publicznie je kamienujemy lub chłostamy za popełnienie cudzołóstwa, ponieważ jest to sprzeczne z waszymi demokratycznymi zasadami. Ale ja reprezentuję Allaha, a wy reprezentujecie Szatana" – orzekł Achundzada. „Wkrótce wprowadzimy karę za cudzołóstwo. Będziemy publicznie chłostać kobiety. Będziemy je publicznie kamienować" – zapowiedział z wyraźnym podnieceniem. „Praca talibów nie zakończyła się wraz z przejęciem Kabulu, nasza praca dopiero się zaczęła" – spointował. Dla przypomnienia: amerykańska inwazja na Afganistan nosiła nazwę: „Trwała wolność".

2. W Missisipi, najbardziej religijnym stanie w USA (77 proc. wierzącej populacji, ex aequo z Alabamą), panuje moda na stawianie monstrualnych krzyży. Najnowszy – czternasty – powstał w Aberdeen w hrabstwie Monroe. Ma 37 m wysokości, 20 m szerokości i kosztował 240 tys. dolków. W budowie krzyży specjalizuje się firma Rozier Construction, której właściciel Mike Rozier mówi z dumą, że ma na swoim koncie już 20 takich konstrukcji (krzyże wyrastają nie tylko w Missisipi), czyli zarobił koło 5 mln dolków. „Ludzie zobaczą ten krzyż, będą o nim rozmawiać i powiedzą: »Przejeżdżałem przez Aberdeen w stanie Mississippi, a tam stoi 120-stopowy krzyż«" – reklamuje inicjatywę Buzzy Culum, który podarował akr ziemi pod budowę. Krzyże są z materiałów niepalnych, w sprzeczności ze starą tradycją Missisipi.

3. W 2531 r. wszyscy Japończycy będą nosili nazwisko Sato – obliczył Hiroshi Yoshida, profesor ekonomii na Uniwersytecie Tohoku. Brzmi humorystycznie, ale nie jest: japońskie prawo jako jedyne na świecie wymaga od małżonków, aby nosi to samo nazwisko. Teoretycznie mogą wybrać między nazwiskiem męża i żony, ale w 95 proc. nazwisko zmienia kobieta, co często oznacza poważne problemy w karierze zawodowej czy naukowej, nie wspominając nawet o mitrędze biurokratycznej. Prawo pochodzi z XIX w. i już kilkukrotnie pojawiały się inicjatywy jego zmiany, ale rządząca formacja konserwatywna o ironicznej nazwie Partia Liberalno-Demokratyczna jest przeciw, uważając, że zmiana kodeksu cywilnego oznaczałaby atak na tradycyjne wartości, podważenie jedności rodziny i dezorientację wśród dzieci.

4. Pastor Mark Burns z Karoliny Południowej, jeden z religijnych przydupasów Trumpa, ogłosił z dumą, że w tym roku już na pewno otworzy zapowiadaną od pewnego czasu szkołę, która nazwał „Chrześcijańską Akademią Wojskową Burnsa". W opinii pastora akademia jest niezbędna do „uratowania naszych dzieci przed złem publicznej oświaty". Dzieci w szkole Burnsa, przyobleczone w „mundury inspirowane wojskowymi", nie będą „narażone na wpływy wokeismu, LGBTQ i CRT" (Krytycznej Teorii Rasy, zajmującej się badaniem roli rasizmu w USA). Zabawne jest to, że Burs chwali się w swoim resume tytułem licencjata nauk ścisłych i sześcioma latami w służby w USAR, czyli rezerwie armii. CNN wykryło, że tak naprawdę ma za sobą jeden semestr studiów i nigdy nie był w USAR. Ma więc wszystkie dane do założenia akademii militarnej.

eprasa.pl b68685da26

Za mundurem dzieciaki sznurem

Militaryzacja szkół w USA.

Człowiekowi z młotkiem wszystko wydaje się gwoździem – stwierdził przed laty amerykański krytyk mediów i skomercjalizowanej edukacji Neil Postman. Nie powinno zatem szczególnie dziwić, że amerykańskim siłom zbrojnym, które składają się wyłącznie z ochotników – bo agresja na Wietnam wykazała, że armia z poboru może wstrząsnąć podwalinami ładu politycznego – każdy małolat wydaje się potencjalnym rekrutem.

Pozyskiwanie przyszłych żołnierzy i – od jakiegoś czasu – żołnierek to proces złożony, czasochłonny i wymagający nader wysokich nakładów finansowych. Stany Zjednoczone to supermocarstwo globalne, jeśli ktoś zamierza pobierać żołd, musi liczyć się z tym, że zostanie wysłany na drugi koniec świata. I – co wykazały wojny w Iraku i Afganistanie – nie może wykluczyć nie tylko tego, że będzie zabijał, ale i że sam zginie, zostanie okaleczony, będzie musiał patrzeć na rany i śmierć swoich kolegów i koleżanek. Syndrom stresu pourazowego to choroba zawodowa wojskowych.

Jeżeli imperium amerykańskie musi mieć stały dopływ rekrutów, niekiedy nawet nastoletnich, to oczywiste jest, że nie biorą się oni z powietrza. Uczęszczają do szkół, które stały się terenem łowieckim dla wszystkich rodzajów sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Jeśli przyjrzeć się temu bliżej, jest to polowanie z nagonką.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Szkoła w bojówkach

Korzenie militaryzacji dzieciaków w USA sięgają I wojny światowej, a dokładniej 1916 r. Wtedy, aby zapewnić dostawę żołnierzy na front, postanowiono stworzyć w szkołach Korpus Szkoleniowy Młodszych Oficerów Rezerwy (JROTC).

W oficjalnych celach JROTC czytamy, że powinien on „zapewniać znaczące nauczanie przywództwa z korzyścią dla ucznia i wartością dla Sił Zbrojnych". Dzięki programowi nastolatki wiele podobno zyskają, w tym zrozumieją „podstawową koncepcję przywództwa, sztuki wojskowej i nauki", „docenią wymogi bezpieczeństwa narodowego", poznają „podwójne role obywatela/żołnierza i żołnierza/obywatela", co pozwala kadetom „lepiej służyć swojemu krajowi jako przywódcy, obywatele i w służbie wojskowej, jeśli do niej przystąpią".

Owo „jeśli" to fikcja – swoje programy kadeckie mają wszystkie rodzaje sił zbrojnych w Ameryce: armia lądowa, marynarka wojenna, piechota morska, straż przybrzeżna, lotnictwo, a nawet siły kosmiczne. W końcu kluczowym celem JROTC jest „wpajanie uczniom szkół średnich w Stanach Zjednoczonych wartości obywatelskich, służby dla Stanów Zjednoczonych (w tym wprowadzenie do możliwości służby w służbie wojskowej, narodowej i publicznej) oraz osobistej odpowiedzialności i poczucia spełnienia". Wiadomo wszak, że nic tak nie daje poczucia spełnienia jak strzelanie do ludzi, aby ich zabić, skasować żołd i nawet dostać medal. Sama armia Wuja Sama z dumą podkreśla, że 44 proc. nowo zrekrutowanych żołnierzy w ostatnich latach to absolwenci szkół, w których były programy JROTC.

A jak wyglądają te programy? Składają się na nie cztery komponenty: zajęcia w klasie, laboratoria przywództwa, ćwiczenia w terenie i trening sprawności fizycznej. Zajęcia – czytamy na stronie departamentu Dakoty Południowej – „wprowadzają kadetów w wojskowe zwyczaje, uprzejmości i tradycje, a także historię wojskowości i organizację armii", mając na celu „zapewnienie edukacji wojskowej i szkolenia dla studentów, aby zmobilizować ich do gotowości do obrony narodowej".

Koszt programu, finansowanego przez Departament Obrony, sięga ogółem ponad 425 mln dolarów, a liczba JROTC to ok. 3500. Ale to dopiero rozgrzewka – w 2020 r. narodowa komisja ds. służby wojskowej, narodowej i publicznej Kongresu zaleciła zwiększenie liczby jednostek JROTC do 6000 do 2031 r.

Wedle działającej na zlecenie Kongresu placówki badawczej, „program JROTC może przynosić pewne korzyści uczniom i szkołom je przyjmującym. Kilka badań wykazało pozytywne korelacje między uczestnictwem w JROTC a wynikami uczniów, w tym frekwencją szkolną i wskaźnikami ukończenia szkoły, lepszymi wynikami testów, wyższą samooceną uczennic i niższymi wskaźnikami działań dyscyplinarnych".

Tyle od frontu, od oficyny obraz nie wygląda tak różowo.

Bieda idzie do woja

Pod koniec 2022 r. „New York Times" zwrócił uwagę, iż w całych Stanach Zjednoczonych uczniowie szkół średnich trafiają do klas wojskowych. Nie, nie z własnego wyboru, ale w wyniku odgórnych decyzji. Ponadto okazało się, że dzieciaki, które nie chciały nosić mundurów wojskowych i wykonywać rozkazów wrzeszczącego instruktora, usłyszały od administratorów szkoły, że nie mogą zrezygnować z tych zajęć.

Dziesiątki szkół – w Detroit, Los Angeles, Filadelfii czy mieście Oklahoma – uczyniły program JROTC obowiązkowym lub skierowały do niego ponad 75 proc. uczniów w klasie. Zdecydowana większość takich szkół to placówki, w których uczą się małolaty z uboższych, najczęściej afroamerykańskich i latynoskich domów.

Jak podkreśla „NYT", „dyrektorzy szkół średnich, którzy przyjęli program, twierdzą, że motywuje on uczniów, którzy zmagają się z trudnościami, uczy samodyscypliny uczniów zakłócających porządek i zapewnia tym, którzy mogą czuć się odizolowani, poczucie koleżeństwa. Program znalazł uznanie na obszarach wiejskich, gdzie wojsko ma głębokie korzenie, ale także w ośrodkach miejskich, gdzie nauczyciele chcą odciągnąć uczniów od narkotyków lub przemocy w kierunku tego, co dla wielu może być obiecującą karierą lub stypendium uniwersyteckim".

Krytycy JROTC zwracają natomiast uwagę, iż uczy on nade wszystko ślepego posłuszeństwa i niekwestionowania autorytetu. Jako że klasy wojskowe są zagnieżdżone w szkołach przez lata poddawanych cięciom nakładów na edukację, nie do pogardzenia jest fakt, że zajęcia JROTC są niekiedy kwalifikowane jako wychowanie fizyczne, co umożliwia zwalnianie z pracy wuefistów i zastępowanie ich instruktorami-weteranami. Wojsko zapewnia również podręczniki, które są mieszaniną prowojennej propagandy, przekłamań i nacjonalistycznego szowinizmu.

Mój nauczyciel trep

Jakby mało było JROTC, dokładnie 30 lat temu Kongres ustanowił program przechodzenia od żołnierza do nauczyciela (Troops to Teachers, TTT), który umożliwia emerytowanym wojskowym uczenie dzieci. Najczęściej – dziwnym trafem – w społecznościach nie-białych i o niskich dochodach.

W 2000 r. departament obrony przekazał kierowanie programem departamentowi edukacji. Wielu weteranów daje się skusić dofinansowaniem uzyskania certyfikatu nauczyciela w wysokości do 5 tys. zielonych. Nawet dwa razy więcej można dostać za wyrażenie zgody na nauczanie w szkołach, w których wielu nastolatków dorasta w domach o niskim statusie materialnym.

Byłe trepy mają pokazywać amerykańskiej młodzieży właściwe wzorce charakteru ze szczególnym uwzględnieniem przywództwa. Nie wszystkim się podoba, iż tacy nauczyciele są wyćwiczeni do wykonywania rozkazów (sztywne łańcuchy dowodzenia) włącznie z rozkazami, aby zabijać ludzi. Nie jest też oczywiste, czy wojskowy dryl jest tym, czego najbardziej potrzebuje młodzież.

Co więcej, istnieje szybka ścieżka obejmowania stanowisk kierowniczych przez emerytowanych wojskowych.

Pozorny wybór

Rekruckie polowania na dzieciaki z biednych, często nie-białych społeczności jest zrozumiałe, co nie znaczy, że przez to mniej podłe.

Czarny nastolatek i latynoska dziewczyna są indoktrynowani i dość bezbronni w obliczu technik, które chyba można trafnie określić mianem psychomanipulacji. Powinni oni mieć nieco więcej opcji życiowych niż dilowanie metaamfetaminą lub wstąpienie do wojska.

To głęboko nie w porządku i wielu liderów mniejszości etnicznych w USA doskonale to widzi i właściwie piętnuje.

Zastanawiające, że po zamieszkach na początku lat 90. XX w. w Los Angeles Colin Powell przekonywał, że zaciągnięcie się do wojska to alternatywa dla handlu narkotykami i gangsterstwa, choć Pentagon wyklucza udział w programach JROTC uczniów ze słabą średnią ocen i mających problemy z zachowaniem.

Jakoś mi to wszystko przypomina – rzućcie okiem na YouTube na teledysk – „Piosenkę trepa", w której przed laty Kazik rapował:

„Gdy byłem małym chłopcem, to chciałem być żołnierzem.
I 30 lat minęło, a ja dalej w to wierzę (…)
Długa szkoła, nauka niewesoła.
Tu krótka nauka, zabawy kupa. (…)
A ty oddaj krajowi, co mu się należy".

Z.J.

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl b68685da26

Młot na patriarchat

Mamy prawa, skurwysyny!

Moja matka, kobieta niespecjalnie wykształcona, cieszyła się, że ma czterech synów i „tylko” dwie córki. – Baby mają w życiu dużo ciężej – powiedziała mi kiedyś w przypływie szczerości, sterana życiem, niskopłatną pracą zawodową i zupełnie darmową (nie licząc swoistej odpłaty w postaci opierdalania ze strony najpierw ojca, a potem męża) pracą domową. Nie sądzę, aby kiedykolwiek miała czas i chęć, by kontemplować przyczyny tej niesprawiedliwości, ale traktowała ją jak część niekomfortowej, lecz nieuchronnej rzeczywistości.

Podzielała ona los setek milionów kobiet w historii, obecnie i – co piszę z niekłamaną złością – w przewidywalnej przyszłości.

Towarzysz Mao zasłynął z tzw. długiego marszu, aby przejąć władzę i obalić znienawidzone przezeń pół-feudalne, pół-kapitalistyczne rządy w Chinach. Marsz kobiet, żądających równości praw i sprawiedliwości, jest o wiele dłuższy i daleki od zakończenia. Wiele je dzieliło i dzieli – rasa, religia lub bezwyznaniowość, orientacja seksualna, narodowość czy przynależność klasowa. Łączy przekonanie, że ktoś tu gra w chuja i nie ma powodu, aby mężczyźni, przez sam fakt bycia mężczyznami, mieli pewną przewagę nad kobietami. I że poprzez walkę można ten stan rzeczy zmienić, bo nie ma w nim nic „naturalnego”, danego od Boga czy bóstw (boginie mogą mieć odmienne zdanie), nie stanowi też odbicia jakiegoś przedustawnego racjonalnego ułożenia spraw.

Doskonale ukazuje to książka Lucy Delap, „Feminizmy. Historia globalna”. Pokazuje ona, że wyższościowe przekonanie, że to kobiety Zachodu dzierżą palmę pierwszeństwa w feminizmie świadczy o ignorancji i prowincjonalizmie.

Z czerwienią im do twarzy

Różnica między lewicą i prawicą sprowadza się, jeśli wierzyć Coreyowi Robinowi, do tego, że zwolennicy tej pierwszej wierzą w równość, a ci drudzy opowiadają się za hierarchią. Walka o władzę między nimi od początku historii toczy się na trzech frontach: politycznym (rządzący vs rządzeni), ekonomicznym (żyjący z własności vs utrzymujący się z pracy własnych rąk, czyli obecnie – kapitał kontra praca) i osobistym (między żoną i mężem, rodzicami a dziećmi).

Tak naprawdę hasło feministek „prywatne jest publiczne” odkryli setki, jeśli nie tysiące lat wcześniej, konserwatyści. I trzymają się tej strategii po dziś dzień: Trump w USA, Putin w Rosji, Erdoğan w Turcji, Kaczyński i Bosak u nas. Ruchy socjalistyczne czy komunistyczne były najskuteczniejsze wtedy, gdy odpłacały reakcjonistom pięknym za nadobne, stosując obronę przez atak, nie biorąc bynajmniej jeńców. Nie jest przy tym przypadkiem, że to właśnie socjaliści w XIX w. podnieśli sztandar emancypacji kobiet.

Dla francuskiego socjalisty utopijnego Charlesa Fouriera, który miał duży wpływ na wiele aktywistek feministycznych, jasne było, że system się wali i trzeba tworzyć nowy porządek. Jego idee wdrażano w eksperymentalnych społecznościach w obu Amerykach i Europie. Gwoli prawdy, nie do końca zamieszkujące je kobiety mogły się czuć bezpiecznie, bo pod względem seksualnym były one niezwykle wywrotowe.

„Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa” Fryderyka Engelsa przekonywało, że we wczesnych wspólnotach ludzkich kobiety piastowały najwyższe stanowisko społeczne, jakim nigdy później się nie cieszyły. Pierwotny komunizm został wyparty przez niewolnictwo i prostytucję. Niemiecki filozof ostro krytykował „damę ze świata cywilizowanego” za lubowanie się w przepychu, choć w ramionach takich właśnie niezliczonych dam znajdował ukojenie w walce o komunizm. Skądinąd zaznajamiając się z jego biografią można się zastanawiać, skąd miał tyle czasu na zmagania polityczne, skoro najbardziej zajmował się sprawami łóżkowymi.

„W ruchu socjalistycznym teoria Engelsa na temat patriarchatu cieszyła się ogromnym zainteresowaniem, ale w ostatecznym rozrachunku służyła rozgrzeszaniu mężczyzn z ucisku, jakiego doświadczają kobiety” – pisze Delep, dodając, iż zdaniem Engelsa „to właśnie kobiety odpowiadały za ustanowienie patriarchalnego porządku, ponieważ to one, w chwili gdy społeczności pierwotne zaczęły uprawiać rolę, odrzuciły małżeństwa grupowe na rzecz monogamii”.

Samo pojęcie „patriarchatu” upowszechnił August Bebel, który w pracy „Kobieta i socjalizm” z 1879 r. twierdził, że ruch kobiet jest zbyt mało radykalny, skupiając się na drobnych reformach: przyznaniu kobietom prawa do edukacji czy praw politycznych. Zdaniem Bebla, socjalizm w małżeństwie monogamicznym widzi niewolnictwo seksualne, które należy znieść. Znieść jednocześnie powinno się niewolnictwo płacowe i własność prywatną.

Tyle w Europie, bo o Azji często, zgodnie z dyskursem orientalistycznym, mówiło się, że jest strasznie zacofana, także pod kątem praw kobiet, toteż oczekują one na białego zbawcę na koniu. Nic bardziej mylnego.

Wejście smoczycy

Związana z kręgiem myśli anarchistycznej He-Yin Zhen, która żyła na przełomie XIX i XX w. opracowała bardzo ambitną teorię dotyczącą strukturalnych nierówności, których ofiarą padają kobiety. Wedle Delep, „z pism He-Yin, będących pokłosiem jej udziału w dyskusjach intelektualnych w Japonii, wynikało, że fundamentem nowoczesnego myślenia o płci powinna być między innymi otwartość językowa i postawa kosmopolityczna, zwłaszcza w sytuacji, gdy płeć społeczno-kulturowa nie pokrywa się ściśle z biologiczną”.

He-Yin przekonywała, że podziały płciowe kojarzą się z kulturową i ekonomiczną strukturą ciał, pracy i władzy. Należy, jej zdaniem, wyobrazić sobie świat, w którym takie określenia, jak „natura męska” i „natura żeńska” staną się zbędne, co będzie równoznaczne z końcem kapitalizmu, państwa, własności prywatnej, różnicy rasowej i płciowej.

He-Yin krytykowała instytucję małżeństwa, a także tradycje konfucjanizmu. Dziś, gdy feministki z zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych pławią się w grach językowych, jasne jest, że chińska autorka sprzed ponad wieku zwracała uwagę nie tylko na psychologiczne, ekonomiczne i seksualne wymiary patriarchatu, ale i jego obecność w strukturze samego języka.

He-Yin zwróciła uwagę, iż

patriarchat usadowił się w każdym znaku chińskiego pisma: słowo „furen” (kobieta) pochodziło od znaku „fu” (miotła), co sprowadzało kobiety do roli domowej siły roboczej. Co mi przypomina z kolei o czarownicach,

które używały mioteł, by latać na wyzwoleńcze, proto-feministyczne sabaty (takie spotkania osób z macicami z Partii Razem sprzed stuleci).

Rasistowski (pseudo)feminizm

W piekle jest specjalne miejsce dla kobiet, które nie wspierają innych kobiet – to jeden z bon-motów amerykańskiej liberalnej imperialistki Madeleine Albright, sekretarz stanu w administracji Billa Clintona. Albright, rzecz jasna, miała wyłącznie na myśli robiące karierę kobiety z klasy wyższej i ewentualnie średniej. Bo ta właśnie osoba, kiedy zapytano ją w programie telewizyjnym o skutki sankcji nałożonych na Irak w latach 90. – śmierć pół miliona dzieci! – stwierdziła z poważną miną, że tę cenę warto było zapłacić. Los irackich matek, które musiały opłakiwać zupełnie niepotrzebne zgony ich pociech, nieprzesadnie ją zatem obchodził.

Albright nie jest bynajmniej wyjątkiem wśród zachodnich elit. Dysponujące władzą kobiety i tacyż mężczyźni z Ameryki, Wielkiej Brytanii czy Francji chętnie sięgają po argumenty feministyczne, obronę praw uciskanych przez „dzikusów” (obecnie głównie muzułmanów). To właśnie im wspaniali żołnierze i żołnierki (cóż za postęp!) w czołgach – lub sterując dronami, co jest niezmiernie sexy – przynoszą upragnioną wolność i prawa człowieka. Bez wojowników i ich dronów ci brodaci islamscy fanatycy nie pozwalaliby kobietom uczyć się w szkołach i na uniwersytetach oraz głosować w wyborach parlamentarnych.

Wśród polityków, szczególnie po inwazji na Afganistan w 2001 r. i Irak dwa lata później, pojawiła się moda na demonizowanie radykalnego islamu. Laura Bush, żona ówczesnego prezydenta George’a W. Busha, powiedziała wprost: „Walka z terroryzmem jest jednocześnie walką o prawa i godność kobiet”. Wtórował jej mąż: „Naczelnym celem terrorystów jest brutalne podporządkowanie kobiet, i to nie tylko Afganek”.

W 2016 r. ówczesny premier brytyjski David Cameron skrytykował „społeczeństwa patriarchalne” i „wezwał do walki z ekstremizmem w imię tradycyjnych brytyjskich wartości: liberalizmu i tolerancji”. Skutkiem tego było – co byłoby zabawne, gdyby nie miało tragicznych konsekwencji – że osoby nieznające języka angielskiego były zagrożone deportacją. Bo łaska białego, bogatego, starszego pana dla młodej, biednej kolorowej kobiety na pstrym koniu jeździ.

Trafna jest konstatacja Delep, że intelektualnym osiągnięciem feministek jest rozpoznanie, jak porządek społeczny przekłada się na kondycję kobiet: „Dzięki niemu można było odejść od koncepcji wojny płci i rozpocząć dyskusję na temat strukturalnych nierówności płciowych na poziomie języka, na rynku pracy, w obszarze religii, w wymiarze sprawiedliwości, w sferze psychiki i w obrębie rodziny”.

Pewnie nie dożyję prawdziwej równości płci, ale mam nadzieję, że przynajmniej moja córka nie będzie musiała być do końca życia feministką, gdyż kwestia równości płci będzie wreszcie rozwiązana…

K.K.

Rys. MARCIN CHUDZIK

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Donald Tusk pożalił się „Gazecie Wyborczej”: „Musimy być gotowi [do obrony – przyp. MS]. Europa ma jeszcze dużo do zrobienia. Na szczęście możemy już zauważyć prawdziwą rewolucję, jeśli chodzi o europejską mentalność. Gdy po raz pierwszy byłem premierem, nikt poza krajami bałtyckimi nie zwracał uwagi na moje przestrogi, że Rosja może być zagrożeniem. Gdy mówiłem, że Rosja jest dla Europy problemem, a nie partnerem, wzruszano ramionami: no tak, Polak, rusofob”. Największym zagrożeniem była wówczas chęć „dialogu z Rosją, taką jaka ona jest”.

☆ Hagiografię Radosława Sikorskiego napisał w „Polityce” Marek Ostrowski: „Najważniejsze jest to, że Sikorski jest dobrze przygotowany do roli dziś, w trudnej sytuacji – zarówno agresji Putina, kłamliwej propagandy rosyjskiej jak i ospałości części Zachodu. Przykładem, który poszedł w polityczny i medialny świat, była riposta Sikorskiego w Radzie Bezpieczeństwa ONZ (…). Sikorski (…) dał świadectwo polityka, który jest nie tylko inteligentny, ale w mig dostrzega istotę rzeczy i umie rzeczowo, bez inwektyw i zużytych komunałów, znokautować przeciwnika. Nie wiem, czy dziś jest ktoś w Polsce, kto by to potrafił zrobić równie dobrze”. Puentą artykułu jest zaś wspomnienie o rządach Sikorskiego w MON: „Pamiętam, z jakim wzruszeniem, ze łzą w oku, przyklękając, całował sztandar wojska i z pewnością nikt nie widział w tym gry. Czyli Radek jest też dobry na czasy wojenne. A takie idą”. Łubu-dubu, łubu-dubu, niech nam żyje prezes naszego klubu, niech żyje nam! To śpiewałem ja, Ostrowski Marek, redaktor drugiej klasy.

☆ Przewodniczący czeskiego senatu złożył Swietłanie Cichanouskiej propozycję ugoszczenia w Pradze białoruskiego rządu na uchodźstwie: „Od 1923 do 1945 r. w Pradze urzędował antybolszewicki, białoruski rząd na uchodźstwie. Dziś jesteśmy w sytuacji, kiedy Czechy znów mogą zapewnić miejsce rządowi emigracyjnemu, aby mógł pracować na rzecz wolnej Białorusi”. Powoływanie się na dziedzictwo Czechosłowacji z lat 1938–45 jest zaprawdę świetnym pomysłem.

Rys. MARCIN CHUDZIK

☆ Izraelska armia zaatakowała konwój międzynarodowej organizacji humanitarnej Central World Kitchen (pol. Centralna Kuchnia Świata) dostarczającej żywność umierającej z głodu Strefie Gazy. Zabito siedmiu wolontariuszy, w tym obywatela Polski. MSZ w swym oświadczeniu nie zdecydowało się na jakąkolwiek krytykę odpowiedzialnych za atak władz izraelskich. Ciekawe, jaka byłaby reakcja ministerstwa, gdyby na Ukrainie w wyniku rosyjskiego ostrzału, zginął polski wolontariusz przekazujący cywilom pomoc humanitarną.

☆ W „Przeglądzie” Grzegorz Rudnik pisze o stanie polskiej armii: „W lipcu ub. r. ówczesny minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak podał, że Wojsko Polskie liczy ponad 175 tys. »żołnierzy pod bronią«. Oznaczałoby to, że mamy 80 tys. żołnierzy więcej niż w roku 2015, a Wojska Lądowe to nie trzy, a pięć dywizji. Na papierze wygląda to nieźle, a jak jest w praktyce? 2 lutego 2022 r. liczebność Wojsk Lądowych wynosiła 53,9 tys. żołnierzy, łącznie z generałami, logistykami, kucharzami, pisarzami itd. W roku 2023 liczba ta wzrosła do 59,1 tys. żołnierzy. W Wojskach Lotniczych służyło 17,2 tys. żołnierzy. W Marynarce Wojennej – 6,95 tys. marynarzy, w Wojskach Specjalnych – 3,15 tys. komandosów, a w Wojskach Obrony Terytorialnej – ok. 38 tys. osób. Realnie gotowych do walki jest może 55–60 tys. ludzi. (…) W latach 1972–88 Wojsko Polskie liczyło od 406 do 418 tys. żołnierzy (…). No i możliwości ówczesnego przemysłu zbrojeniowego były znacznie większe. Dziś de facto jesteśmy rozbrojeni”. No i jak tu nie zakrzyknąć, że za komuny było lepiej?

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl b68685da26

Fundacja karci polskich rolników, że nie chcą biednieć w interesie ukraińskich latyfundystów.

Batory tęskni za Pskowem

Parokrotnie miałem okazję być obecnym na debatach organizowanych przez Fundację im. Stefana Batorego. Debaty te charakteryzowały się na ogół wysokim stopniem wiedzy i kompetencji zarówno prelegentów, jak i dyskutantów. Jednak owa wiedza i kompetencja jakby wyparowały z Fundacji wraz z konfliktem zbrojnym na Ukrainie (właśnie „na", a nie „w" Ukrainie, co jest czystej wody rusycyzmem).

Wojna Bendyka i Rycharda

Najnowszym tego przykładem jest opublikowane na stronie internetowej Fundacji opracowanie, którego autorami są prezes Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego Edwin Bendyk oraz przewodniczący Rady Fundacji Andrzej Rychard. Teoretycznie rzecz ujmując, od poważnych naukowców należałoby oczekiwać poważnej analizy poważnej sytuacji. Okazuje się, że jednak tylko teoretycznie, albowiem opracowanie to w rzeczywistości jest zbiorem propagandowych banałów wpasowujących się w obowiązującą narrację politycznych elit.

Symptomatyczny jest sam tytuł tego elaboratu „Wojna – nasza sprawa". Można by pomyśleć, że Fundacja toczy z Rosją wojnę, która zakończy się, gdy wróg padnie na kolana niczym na obrazie Jana Matejki. Jednak na pewno nie jest to wojna ani moja, ani większości z nas. Jest to bowiem konflikt zbrojny pomiędzy Rosją a Ukrainą, a Polska nie ma w tym bezpośredniego udziału. Idąc dalej tym samym tokiem myślenia, autorzy powtarzają propagandowy slogan twierdząc, że Ukraina walczy także o nas. Otóż nie! Walczy ona nie o nas, ale o siebie. Autorzy tego wprost nie mówią, ale z ich narracji można wnioskować, że wpisują się w wytwór intelektualnej spostrzegawczości Lecha Kaczyńskiego w postaci słynnego stwierdzenia: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę".

Jak wynika z wynurzeń czołowych postaci Fundacji im. Stefana Batorego, tkwią oni w ograniczonym myślowo zaścianku, widzącym jedyne rozwiązanie konfliktu w zwycięstwie militarnym nad Rosją.

Piszą oni, że w interesie Polski i całej Europy jest, aby Ukraina tę wojnę wygrała. A może warto by zadać sobie pytanie: czy w interesie Polski i Europy nie jest to, aby ta wojna nareszcie się skończyła? Aby przestali ginąć ludzie?

Aby nastąpiło przynajmniej zawieszenie broni torujące drogę do pokojowych – na pewno trudnych, lecz niezbędnych – negocjacji. Z propozycjami pośredniczenia w rozmowach pomiędzy obu zwaśnionymi stronami występowali już niejednokrotnie poważni politycy poważnych państw. Za to w Polsce lansuje się tylko jedną opcję: pokonanie Rosji na placu boju. A na to, że jest to nierealne, wskazują liczni poważni analitycy.

500 cwaniaków i ostrożna Bruksela

W raporcie pojawia się kwestia napływu do naszego kraju ukraińskiego zboża i jego konsekwencji w postaci protestów rolników, z blokowaniem granicy włącznie. Gdyby wnikliwie, a nie tylko pobieżnie, analizować ten problem, można by dojść do wniosku, że polskie władze dały odwłoka już na samym początku tej afery.

Przypomnijmy, że zboże to miało trafiać z Ukrainy do krajów zamorskich w sytuacji braku możliwości jego wysyłki z portów czarnomorskich. Polska powinna była zażądać od Ukrainy, aby przywożone do nas zboże było objęte procedurą tranzytu określającą jako punkt docelowy jakiś port europejski – w Polsce, w Niemczech lub dowolnym innym kraju. Wówczas zboże to nie mogłoby znaleźć się na polskim rynku, gdyż stanowiłoby to jaskrawe naruszenie prawa. Tymczasem polskie władze to zlekceważyły, co umożliwiło wwóz zboża prosto na polski rynek. Jak zauważa profesor krakowskiego Uniwersytetu Rolniczego Jakub Piecuch, po przekroczeniu granicy nie zawsze wiadomo, co z tym zbożem dalej się dzieje. Takie są skutki, gdy zboże zamiast być objęte procedurą tranzytu, jest sprowadzane jako tzw. zboże techniczne, teoretycznie nienadające się do spożycia.

500 cwanych przedsiębiorców wyczuło okazję do zrobienia niezłego interesu na kupnie tańszego zboża z Ukrainy. A że to techniczne zboże przerabiane jest na produkty spożywcze, to już nie ich broszka. Minister od rolnictwa Czesław Siekierski przyznaje, że jest to co prawda działanie nieetyczne, ale zgodne z prawem. Zatem prawo nie musi być etyczne, o czym wszyscy wiedzą, ale nikt o tym głośno nie mówi poza szczerym ministrem Siekierskim.

Normalne państwo w sytuacji zagrożenia własnego rolnictwa czy przemysłu wprowadza w życie cła zaporowe, mające chronić rodzimych przedsiębiorców. Jednak Polska, będąc państwem członkowskim Unii Europejskiej, takich możliwości nie ma; tylko Unia może ustanawiać stawki celne. Tymczasem brukselscy decydenci nie bardzo wiedzą, jak sobie z tym ambarasem poradzić. Bruksela najpierw wstrzymuje napływ zboża z Ukrainy, aby następnie cofnąć te ograniczenia i przedłużyć bezcłowy import do lata przyszłego roku.

Polskie MSZ zapowiedziało podjęcie rozmów z UE w sprawie przywrócenia kontyngentów na import ukraińskiego zboża. Jak na razie w Unii Europejskiej nie zdecydowano się na wprowadzenie takich ograniczeń. Zezwolono natomiast na to, aby poszczególne kraje członkowskie mogły we własnym zakresie stosować środki zaradcze, gdyby import z Ukrainy powodował zakłócenia na rynku wewnętrznym. Brak jednoznacznej reakcji ze strony UE jest łatwo wytłumaczalny, jeśli weźmie się pod uwagę to, że Unia nie jest monolitem i każde państwo ma tu swoje interesy i preferencje. Dlatego Niemcy, Holandia czy państwa bałtyckie nie są skłonne psuć sobie stosunków z Ukrainą jedynie po to, by wyjść naprzeciw postulatom Polski, Węgier i Słowacji. Niech sobie sami radzą w imię unijnej solidarności.

Holenderscy Francuzi i amerykańscy Ukraińcy

Polscy rolnicy nie są w stanie konkurować z potentatami zza wschodniej granicy i trudno im się dziwić, że są wkurwieni. Polskim gospodarstwom trudno jest stawić czoła potężnym zagranicznym holdingom działającym w branży rolnej i spożywczej. To one kontrolują ok. 40 proc. rolnego eksportu Ukrainy.

Największy udział w tym eksporcie ma zarejestrowana w Holandii francuska firma Louis Dreyfus, zaliczana do czwórki największych na świecie handlarzy produktami rolnymi, choć nie gardzi też takimi towarami, jak miedź, cynk czy koncentrat ołowiu. W wywozie ukraińskiego ziarna aktywni są też tak znaczący potentaci jak założona w Szwajcarii i płacąca podatki na wyspie Jersey firma Viterra czy też amerykański Cargill zajmujący się dostawą produktów i usług dla przemysłu rolno-spożywczego, a przy okazji także wydobyciem soli i usługami finansowymi. Viterra w ubiegłym roku osiągnęła zysk netto na poziomie 453 mln dol. Nie informuje jednak szczegółowo, ile z tego zarobiła na ukraińskim zbożu. Wśród liczących się dostawców zboża na polski rynek znajduje się też korporacja Archer Daniels Midland specjalizująca się nie tylko w magazynowaniu, transporcie i sprzedaży produktów rolnych, lecz także w ich wytwarzaniu.

Sprzedażą zboża parają się też ukraińscy potentaci. Czołową rolę odgrywają tu dwa koncerny. Liderem w wywozie jest Nibulon będący w posiadaniu ponad 76 tys. hektarów ziemi i dysponujący największą na Ukrainie liczbą elewatorów zdolnych do magazynowania ponad 2 mln ton zboża. Drugim liczącym się eksporterem jest Grupa Agroprosperis założona za amerykańskie pieniądze. Na początku bieżącego stulecia amerykański fundusz inwestycyjny NCH Capital utworzył na Ukrainie sieć firm-córek, które w 2014 r. połączyły się, tworząc potężny holding rolniczy posiadający ponad 400 tys. hektarów, specjalizujący się w produkcji pszenicy, kukurydzy i roślin oleistych.

Armaty zamiast zboża

Przedstawiciele Fundacji ubolewają nad tym, że skutkiem blokady jest nie tylko pogorszenie kondycji przedsiębiorstw, ich pracowników oraz ich właścicieli, lecz także mniejsza zdolność ukraińskiego państwa do zakupu uzbrojenia i finansowania sił zbrojnych. Faktycznie, właściciele w postaci ukraińskich gigantów zbożowych poniosą straty, jednak wbrew temu, co twierdzą autorzy, nie przekłada się to bezpośrednio na stan finansów państwa.

A to państwo ukraińskie, a nie posiadacze ukraińskich gruntów ornych, zakupuje broń zagranicą.

Co najwyżej do państwowej kasy trafi nieco mniej płaconych przez nich podatków. Na Ukrainie nie ma już sowchozów, których dochody zasilały budżet państwa. Straty poniosą także zagraniczne firmy handlujące zbożem, lecz jest to przede wszystkim ich problem, a nie ukraińskich władz. Przy czym należy w tym miejscu zauważyć, że sprzedaż Polsce ukraińskiego zboża to mało znaczący procent ich dochodów. Firmy te już się bowiem zagnieździły w większości krajów świata, w związku z czym zbytnio nie zbiednieją. W odróżnieniu od naszych producentów żywności, niemających innych dochodów poza sprzedażą płodów rolnych.

Wczytując się w tekst fundacyjnego elaboratu można odnieść wrażenie, że jego autorzy mają na uwadze głównie ukraińskie, a nie polskie interesy. Ich zdaniem rolnicze blokady nie mają prawa zagrażać interesowi ogólnemu i bezpieczeństwu państwa. Jak można się domyślać, chodzi tu o interes i bezpieczeństwo bynajmniej nie naszego, lecz ukraińskiego państwa, albowiem – jak twierdzą autorzy – w interesie Polski i państw europejskich jest wsparcie militarne i gospodarcze Ukrainy, któremu to wsparciu przeszkadzają protesty polskich rolników.

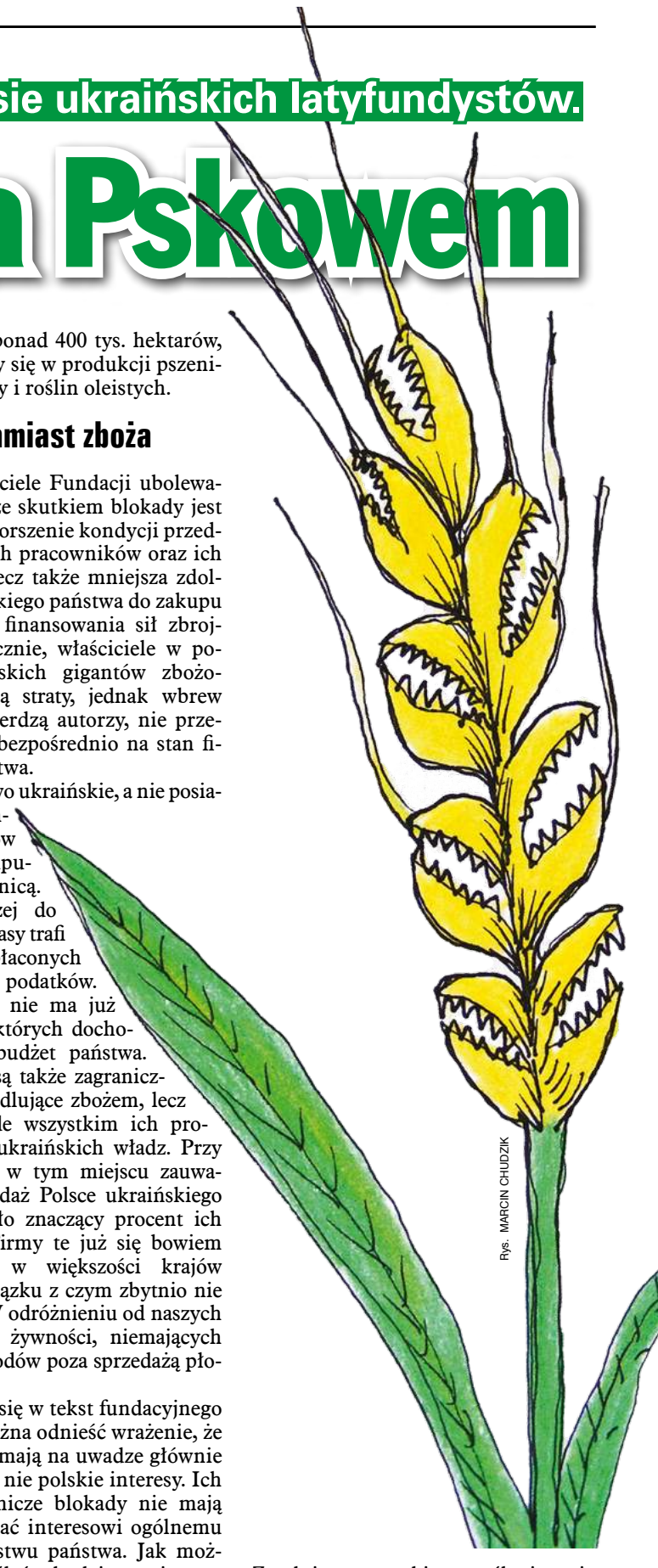

Rys. MARCIN CHUDZIK

Zgodnie z tym tokiem myślenia ważniejsze od dochodów polskich rolników są ukraińskie wydatki zbrojeniowe. Wszak, ich zdaniem, Ukraina walczy także o nas. Chciałoby się dopowiedzieć: dobrze, że nie z nami.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

WIEŚCI **GMINNE** i INNE

▮ Dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych gen. broni Marek Sokołowski poinformował, że pod jego dowództwem żołnierz Wojsk Specjalnych nie zauważył w Tatrach lawiny, a lawina nie zauważyła jego. W rezultacie kolizji armii i żywiołu, żołnierz nie poległ na polu chwały, tylko przemielony przez śnieg, lód i kamienie. Było to piąte zejście śmiertelne polskiego żołnierza podczas ćwiczeń w marcu pod generalnym dowództwem gen. Sokołowskiego.

▮ W Warszawie strajkowali taksówkarze, ponieważ stołeczny samorząd od 22 lat nie zmieniał stawki za przejechany kilometr, a powinien! W tym czasie benzyna zdrożała o ponad 100 proc. W 2002 r. kosztowała 3,20 zł za litr. Przez ten niekorzystny stosunek wartości benzyny do kosztu przejechania kilometra taksówkarze mniemają, że zarabiają za mało. Prawdziwa przyczyna jest jednak w internetowej konkurencji, która jest tańsza niż klasyczne taksówki. Ostatnio z pijaństwa zwiózł mnie czarny człowiek pochodzący z Ugandy (Bruk Amanuel mu było). Gdyby miał to zrobić prawdziwy biały taksówkarz, nie byłoby mnie na niego stać.

▮ Sensacyjne informacje nadeszły z Torunia. Spokojnie, ojciec dyrektor czuje się dobrze, ale w tamtejszym zoo urodziły się trzy taraje. Po pierwsze powinniście za sensację poczytywać, że w Toruniu jest zoo, o czym mało kto wiedział, nawet wśród rdzennych torunian. Po wtóre, że te taraje to takie dzikie koty, których na całym świecie jest 145. Zatem trzy uznać należy za istotny sukces reprodukcyjny.

▮ Centrum Badań Kosmicznych PAN podało, że w minionym tygodniu nad Polską można było zaobserwować zorze polarne wywołane przez burze geomagnetyczne. Centrum nie skontaktowało się widać z Instytutem Meteorologii i Gospodarki Wodnej, według danych którego nad większością kraju w analogicznym okresie dni zwanych nocą występowało zupełne zachmurzenie. Znaczy zórz zaobserwować nie można było.

▮ Policja z Kielc doniosła, iż ujęła na gorącym uczynku kierującą nie swoim nissanem, która mając 3,7 promila alkoholu we krwi wjechała w przydrożny płot. Przy takich doniesieniach o rekordowym stężeniu alkoholu w człowieku zawsze pojawia się wątpliwość, czy aby badający trzeźwość alkomat sam nie był pijany. Alkomaty, jak wszystkie urządzenia pomiarowe, bywają przecież zawodne.

▮ W Skierniewicach budują pomnik Napoleonowi Bonaparte, pułkownikowi Gwardii Cesarskiej Janowi Kozietulskiemu oraz koniowi. Zgodnie z założeniami miałby on stanąć przed budynkiem starostwa powiatowego, które wystosowało do fundatorów notę z instruktażem: „Byłoby niestosownym, by z którejkolwiek strony eksponowany był zad koński. W związku z formą samego pomnika w dalszych pracach projektowych należy zwrócić uwagę na zagospodarowanie otoczenia, które pozwoli uniknąć wspomnianego niepożądanego efektu". Innymi słowy matka natura pomyliła się tworząc konia z zadem. Konie powinny być z dwoma głowami po obu stronach tułowia.

▮ Na rynku żywca wołowego w Polsce zapanowała względna stabilizacja – doniósł „Tygodnik Poradnik Rolniczy". Z dalszej lektury wynika, iż żywe byki klasy R skupuje się w Mazowieckiem za 20,10 zł/kg, a jałówki za 20,30 zł. Natomiast na Podkarpaciu za byki płacą 10,70 zł/kg a jałówki: 9,30 zł/kg. W kontekście powyższej informacji niezrozumiałym wydaje nam się sformułowanie „względna stabilizacja". W naszej opinii to chaos cenowy.

▮ Na polsko-niemieckiej wyspie Uznam dochodzi do jawnej dyskryminacji na tle rasowym i narodowościowym. Polacy udający się za granicę, przebiegającą w poprzek plaży, prostopadle do linii brzegowej Bałtyku, indagowani są przez niemiecką straż graniczną na okoliczność uiszczenia opłaty klimatycznej w wysokości 2,50 euro, która jest należna za sam fakt pobytu na niemieckiej ziemi. Niemcy natomiast żadnych opłat w Polsce nie wnoszą, no chyba, że w Świnoujściu nocują. Zdaniem informatorów niemieccy inkasenci wyłapują tych spacerowiczów, którzy mają niearyjskie rysy twarzy, a tych z germańskim obliczem się nie czepiają, choć oni również zobligowani są do rzeczonej taksy klimatycznej. No nie podoba się nam to.

▮ „Dzięki doskonałej współpracy z mediami i zaangażowaniu społeczeństwa został zidentyfikowany i zatrzymany sprawca zamachu na sklep przy ulicy Lotniczej w Legnicy" – powiedziała Anna Tersa z miejscowej komendy. Zamachowiec oblał sklep substancją do odstraszania dzików. Potem uciekł. Jak się tłumaczył, tak się przestraszył tego odstraszacza, że nie mógł opanować strachu. „Wcześniej go nie używałem do oblewania sklepów, więc nie wiedziałem, że tak śmierdzi" – wyjaśnił. Właściciel sklepu oszacował straty na 300 tys. zł.

RJ

PS Informacje pochodzą z mediów lokalnych, więc nie muszą być prawdziwe, o czym donosimy z ostrożności procesowej i ku rozwadze tych, którzy chcieliby traktować je jako jakieś fakty prawne.

eprasa.pl b68685da26

Smutek dwóch pedałów

Gdyby nie Kasia, nasze kolarstwo byłoby już całkiem na dnie.

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jest mi smutno, nie tylko jako kibicowi, bo polskie kolarstwo ma się gorzej niż źle. Wiele lat życia spędziłem towarzysząc peletonom najróżniejszych wyścigów. Mógłbym bez końca o tym opowiadać, bo nie tylko były to lata obfitujące w sukcesy naszych kolarzy, ale także w pamięci zostały mi niezliczone żarty, jakie robiliśmy sobie w dziennikarskim gronie. Poczesne miejsce w tych wspomnieniach zajmują oczywiście bankiety – nieodłączna część kolarskich imprez.

Coś na ciepło

Organizatorzy wyścigów stawiali sobie za punkt honoru nakarmić przedstawicieli mediów różnymi frykasami i upić ich do nieprzytomności. Nie będę udawać świętoszka – nie mieliśmy nic przeciw temu. Przeciwnie: jeśli nie zostaliśmy ugoszczeni należycie, głośno dawaliśmy temu wyraz.

Wspomnę tylko jeden taki przypadek. Działo się to za komuny podczas wyścigu dookoła Polski. Mety etapów tej imprezy wyznaczano najczęściej w dużych miastach powiatowych, których włodarze chcieli, aby uznawano je za metropolie. Im ambitniejszy włodarz, tym wystawniejsze były bankiety.

Z tymi bankietami był wszakże jeden problem. Władze wyższego szczebla wymagały, aby włodarze powiatów wyliczali się dokładnie z każdego grosza. Fundusz Sprawiedliwości, z którego można bezkarnie skręcić kasę, to znacznie późniejszy wynalazek. Ale jakoś pieniądze trzeba było wyprowadzać. Przecież nie istniała możliwość zapisania w rubryce „wydatki" pozycji „bankiet", ewentualnie uzupełniając ją adnotacją o konieczności zakupu dużej ilości alkoholu i wykwintnej zagrychy dla przedstawicieli prasy, radia i telewizji.

Wymyślono zatem zgrabną formułkę. Bankiet nazwano konferencją prasową i pod tym przykryciem odbywały się bachanalia. Wydatku na konferencję prasową żaden kontroler z województwa nie mógł zakwestionować.

W pewnym mieście (daję słowo, zapomniałem w którym, tyle ich było) nie zdziwiło nas wieczorne zaproszenie na konferencję prasową, to było regułą. Zaskoczył dopiero wygląd sali konferencyjnej. Ustawiono stoły przykryte zielonym suknem, na nich stały butelki z wodą mineralną i pojemniki ze słonymi paluszkami. Rozpoczęła się impreza. Jeden po drugim wstawali miejscowi włodarze i opowiadali o osiągnięciach lokalnego sportu.

Zdziwieni spoglądaliśmy po sobie, ale szybko zrozumieliśmy, że działaczy w tym miasteczku nie poinformowano, jaka powinna być istota konferencji prasowej podczas wyścigu dookoła Polski. Wszystko trwało dobrą godzinę. Wreszcie padły słowa nieodłącznie związane z konferencjami prasowymi: czy są pytania?

Po dłuższej chwili milczenia podniósł rękę nestor kolarskich dziennikarzy Zygmunt Weiss: „Kiedy, kurwa, podacie wreszcie coś na ciepło?"

Dość, nie będę już dłużej wspominać podobnych wyścigowych zdarzeń, choć korci mnie, bo ludzie w pewnym wieku mają okropną skłonność do zanudzania wspomnieniami. Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że w tych czasach polscy kolarze odnosili sukcesy na całym świecie. Oczywiście pamiętam, że istniał wówczas sztuczny podział na amatorów i na zawodowców, który zakłamywał nieco obraz, bo i jedni i drudzy byli profesjonalistami, ale ci pierwsi jakby tylko trochę mniej. W każdym razie mieliśmy wielu i to naprawdę świetnych kolarzy.

Z sukcesami zawodników wiązał się awans działaczy do najwyższych władz tej dyscypliny. Sekretarzem generalnym Światowej Unii Kolarskiej (UCI) był Michał Jekiel, a wiceprezesem – Włodzimierz Gołębiewski. Co tu dużo mówić, byliśmy potęgą pod każdym względem.

Komornik na torze

Jak jest dziś? Od lat w zawodowym peletonie jeżdżą Michał Kwiatkowski i Rafał Majka. Największe indywidualne sukcesy mają już jednak dawno za sobą. Kwiatkowski był mistrzem świata dziesięć lat temu, a Majka dwa lata później zdobył brązowy medal olimpijski. Teraz oglądamy ich najczęściej jako pomocników liderów swoich zawodowych drużyn.

Polski Związek Kolarski jest bankrutem. I to dosłownie. Od wielu lat wloką się za nim długi, powstałe podczas wznoszenia nowoczesnego toru w Pruszkowie. Obiekt szykowano na mistrzostwa świata w 2009 r. Działacze UCI przed imprezą przeprowadzili inspekcję i zalecili wprowadzenie pewnych poprawek. Państwowe pieniądze na budowę pruszkowskiego toru oczywiście były, ale na poprawki już zabrakło. Tak zaczęły się finansowe kłopoty związku. Zaległości zaczęły narastać i na tor wkroczył komornik.

Ile dziś wynosi dług kolarskiej centrali – diabli wiedzą. Kilka lat temu miały zostać zaprezentowane wyniki audytu finansowego, ale – o ile się orientuję – nikt nie poznał konkretnych liczb, być może audyt trwa nadal. Szacuje się, że dług wynosi ok. 20 mln zł. To kompletnie sparaliżowało działalność związku. PZKol. nie może przyjmować żadnych wpłat od Ministerstwa Sportu i Turystyki, bo komornik od razu położy na nich rękę.

Na dobrą sprawę związek nie ma możliwości wysłania jakiejkolwiek ekipy na międzynarodowe zawody. Jeśli jednak wysyła, a kolarze torowi odnoszą nawet pewne sukcesy, dzieje się to przy pomocy podobnej sztuczki, jakiej za moich młodych lat używali działacze, organizując bankiety podczas wyścigów dookoła Polski. Po prostu – trzeba kombinować.

Ministerstwo nie wysyłało niezbędnych pieniędzy do związku, gdzie natychmiast zainteresowałby się nimi komornik, lecz do Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Komitet ekspediował kolarzy na zawody, ubierał ich, wyposażał w sprzęt i opłacał pracowników. Teraz to się urwało.

Komitet olimpijski nie będzie już pośredniczył w przekazywaniu ministerialnych pieniędzy. Dlaczego? Oficjalnego powodu nie znam, ale mam swoją teorię. Być może prezes PKOl Radosław Piesiewicz, którego osoba nie bez powodu łączona jest z PiS, naoglądał się w telewizji sprawozdań z sejmowych komisji śledczych i w jego głowie zaświeciła się czerwona ostrzegawcza lampka…

Trzeba szukać innego sposobu. Nowy minister sportu Sławomir Nitras zapewnia, że kierowany przez niego resort opracował już oryginalny plan finansowania polskiego kolarstwa. Środki przekazywane będą za pośrednictwem wybranego związku stowarzyszeń o zasięgu ogólnopolskim, cokolwiek to może znaczyć. Zawodnicy, którym należą się stypendia, będą dostawać je z ministerstwa na osobiste konta. Słowem: idea słynnych konferencji prasowych za czasów PRL jest wciąż żywa.

Ile i kto będzie dostawać, na razie pozostaje zagadką. Pensji nie mają nawet pracownicy, bo nie ma im kto płacić. Nie sądzę, żeby zawodowcy mogli jeździć za darmo. Z czegoś muszą żyć.

Dwie zębatki

Podczas gdy w Polsce ten sport boryka się z najbardziej podstawowymi problemami, światowe kolarstwo rozwija się w niespotykanym tempie. W ogóle nie przypomina tego, które świetnie znałem. Profesjonaliści jeżdżą na rowerach tylko z grubsza podobnych do tych, na których ścigano się za moich młodych lat. Każdy szczegół opracowywany jest w laboratoriach naukowych. Dawno już zniknęły „wąsy" na kierownicach, które łączyły rower z hamulcami, wszystko odbywa się elektronicznie. Podobnie jak zmiana przełożenia na przerzutce.

W tunelach aerodynamicznych ustawiana jest właściwa pozycja zawodnika na rowerze. Gdyby takie badania przeprowadzano na torze w Pruszkowie, komornik zaraz ostemplowałby tunel.

A za co kupić stroje? Koszulka kolarska nie jest zwyczajną koszulką. Uszyta jest z kilku rodzajów tkaniny, tak aby opór powietrza był jak najmniejszy, produkuje je tylko kilka firm na świecie, głównie w Japonii. Czy nasi szosowcy i torowcy będą je kupować za pośrednictwem jakiegoś związku stowarzyszeń, jak zapowiada minister Nitras?

W czasach, których nie mam prawa pamiętać, wyścigowe rowery w ogóle nie miały przerzutek. Na tylnym kole były dwie zębatki – duża i mała. Jadąc po płaskim, zawodnik używał małej zębatki, gdy zbliżało się wzniesienie, zatrzymywał się, przekładał tylne koło na drugą stronę i zasuwał pod górę. Włoski kolarz i mechanik Tullio Campagnolo wymyślił i opatentował znaną nam dziś przerzutkę. Pokrętłem przy ramie zmienić można było zębatki na przedniej i tylnej tarczy bez schodzenia z roweru. Teraz przełożenia zmienia się elektronicznie.

Poznałem pana Campagnolo podczas mistrzostw świata w Pradze w 1981 r. Właściciel słynnej już fabryki miał zwyczaj przyjeżdżać na każde mistrzostwa świata. Wyprawiał bankiet dla dziennikarzy, dobrze karmił, poił włoskim winem, a na koniec każdemu wręczał fajny prezent. Z Pragi wracałem z efektowną walizką. Tullio Campagnolo poinformował nas wtedy z dumą, że na mistrzostwa dostał przepustkę z więzienia, w którym odbywał karę za niepłacenie podatków, co było wówczas w Italii bardzo modne. Na żeńskim oddziale jego koleżanką była osadzona za to samo słynna aktorka Sofia Loren.

Nadzieja w góralce

Znowu się rozgadałem, a przecież chciałem na koniec napisać coś pozytywnego. Co trzyma polskie kolarstwo na powierzchni? Kobieta. I to bardzo mądra, ładna, w dodatku mająca prawo zakładać koszulkę mistrzyni świata. Katarzyna (będę używać zdrobnienia Kasia, bo sama tak się przedstawia) Niewiadoma zaliczana jest do światowej czołówki. Choć daleko jej jeszcze do sportowej emerytury, uzbierała już sporo medali, także ten najcenniejszy za zdobycie w minionym sezonie mistrzostwa świata w kolarstwie gravelowym.

Nie wszyscy mogą wiedzieć, czym to kolarstwo gravelowe jest. To ekstremalna forma ścigania się. Rower przypomina zwykły rower szosowy, tylko opony są znacznie szersze. Wyścigi odbywają się głównie na leśnych szutrowych ścieżkach pełnych zjazdów i podjazdów.

Kolarstwo w ogóle jest sportem dla twardych ludzi. „Nawet najsłabszy kolarz jest wielkim sportowcem" – stwierdził kiedyś nieżyjący już zwycięzca Tour de France oraz Giro d'Italia Marco Pantani. I trudno się z nim nie zgodzić

Kasia Niewiadoma, góralka z Limanowej, jest właśnie osobą twardą, która potrafi cierpieć. Jeśli brakuje jej zwycięstw w największych imprezach, to przez pewien niedostatek, którego nie da się wytrenować. Kasia nie ma zabójczej prędkości na finiszach. Jej szansą na wygranie jest wcześniejsze rozerwanie peletonu i próba samotnej ucieczki. Nie zawsze się to udaje, kosztuje przy tym dużo sił. Zajęła trzecie miejsce w kobiecym Tour de France, wygrała klasyfikację górską tej imprezy, w mistrzostwach w kolarstwie gravelowym po prostu zamęczyła rywalki i przez ostatnich 25 km wyścigu samotnie jechała do mety, zwiększając stale przewagę. Warto obejrzeć w internecie choć skrót tego wyścigu, bo serce rośnie, kiedy patrzymy, co wyrabia nasza reprezentantka.

Oczywiście Kasia nie jest pod opieką PZKol., bo gdyby tak było, daleko by nie zajechała – komornik mógłby zająć jej drogocenne rowery. Podobnie jak wspomniani Kwiatkowski i Majka startuje w zawodowej stajni, a mieszka w Hiszpanii. W odróżnieniu od kolegów jest liderką swojej grupy i to koleżanki muszą dla niej pracować.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker – sekretarz redakcji, Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor prowadzący, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 3.04.2024 r.**

eprasa.pl b68685da26

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

29 marca prezydent Andrzej Duda zawetował ustawę o tabletce dzień po. A oto co w Pałacu Prezydenckim działo się dzień przed powzięciem tej decyzji, czyli w 28 marca:

Do jednego w gabinetów, zwanego pokojem brydżowym, prezydent zaprosił na popołudnie pierwszą damę Agatę Kornhauser-Dudę, szefową Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Grażynę Ignaczak-Bandych oraz sekretarz stanu w kancelarii Małgorzatę Paprocką.

– Odpowiedzialność – zagaił – nakłada na mnie szczególną dbałość o poprawność procesu legislacyjnego. Zanim podejmę decyzję o podpisaniu…

Twarze obydwu urzędniczek rozjaśnił porozumiewawczy uśmiech. Oblicze pierwszej damy pozostało sfinksowe.

– …zawetowaniu – ciągnął Duda – lub odesłaniu do Trybunału Konstytucyjnego nowelizacji ustawy Prawo farmaceutyczne, zakładającej dostępność bez recepty antykoncepcji awaryjnej dla osób powyżej piętnastego roku życia, czyli tak zwanej tabletki dzień po, postanowiłem sprawdzić działanie tej tabletki.

Prezydent mrugnął, co było znakiem dla minister Paprockiej, żeby na stoliku rozłożyć wyjęte z neseseru opakowania pigułek EllaOne i Escapelle. A tych opakowań było ze czterdzieści.

– Czym chata bogata… – zażartował Duda, a urzędniczki wybuchły poprawnym politycznie śmiechem. Tylko pierwsza dama się nie roześmiała.

No i zaczęło się. Prezydent, jego żona i dwie podwładne łykały tabletki jak cukierki: po jednej i po dwie, popijane alkoholem, wodą, alkoholem z wodą i bez popijania. W kulminacyjnym momencie prezydent roztarł nawet dwie pigułki w podręcznym moździerzu, a następnie wciągnął proszek za pomocą ciasno zwiniętej stuzłotówki.

– Ale mnie to jara – pisnęła minister Ignaczak-Bandych – jak bomba hormonalna.

– No – zgodziła się Paprocka, popijając dwie tabletki whisky z wodą. – Czad!

Kornhauser-Duda nic nie powiedziała, tylko jej się odbiło. Jej zimne dotychczas oczy zaskrzyły się blaskiem. Prezydentowi wydawało się, że był to blask co najmniej dwuznaczny.

– Proszę, proszę, moje panie! – zawołał w uniesieniu. – Za wszystko płaci Kancelaria Prezydenta!

Może to oświadczenie, a może poczucie służebności wobec państwa spowodowało, że impreza nabrała tempa. Nie na długo jednak…

Pierwsza odpadła pierwsza dama: zataczając się, prychając i plując, przeniosła się na fotel klubowy, przewróciła oczami i zapadła w niespokojną, płytką drzemkę. Następnie prąd odcięło Paprockiej. Ignaczak-Bandych położyła się na dywanie, gdy poczuła, że z ust leci jej piana. Najdłużej trzymał się Duda, ale i on w końcu padł jak kawka.

• • •

Nazajutrz około południa szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Jacek Siewiera sporządził raport o skutkach działania tabletki dzień po. Wnioski były druzgocące: jeśli Prezydent Rzeczypospolitej chciał uchronić naród od niechybnej zagłady biologicznej, musiał tę ustawę zawetować.

Co uczynił z zimnym kompresem na głowie, wcześniej przyjąwszy trzy dawki elektrolitów.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA wróciła z Podlasia ze słoikami. Można być słoikiem, nawet jak się jest z Warszawy.
JOANNA SENYSZYN obchodziła w Gdyni ateistyczną wigilię wiosennych świąt, ale do stolicy przyjechała z pustymi rękami.

Wołk-Łaniewska: – Żurku? Prosto ze słoika!

Senyszyn: – A ja myślałam, że prosto z Białegostoku?

– Z Białegostoku via słoik…

– Dziękuję, ale muszę odpocząć od jedzenia, bo u ateistów, jak i u wierzących, święta to jedno wielkie żarcie. Kiedy na przednówku ludzie byli wyposzczeni, miało to jeszcze jakiś sens, ale teraz…

– Teraz to nikt w Polsce nie wie, co to przednówek. A skoro już jesteśmy przy uroczystościach upamiętniających zgon: zauważyłaś, że wszyscy olali rocznicę śmierci papieża-Polaka?

– Bo nie zmartwychwstał, a i rocznica nie była okrągła.

– 19 lat minęło…

– Nie „jak jeden dzień”…

– Oj, nie! Odbrązowienie JP2 poczyniło wielkie postępy. Nikt już nawet nie dyskutuje z tym, że papaj wiedział, nie powiedział, że księża chędożą dzieci. Nie sądzisz, że to znak, że świat jednak zmierza ku lepszemu?

– Jak się patrzy na to, co wyprawiają choćby Rosja i Izrael, to raczej ku gorszemu. Ale oczywiście cieszą takie przebłyski, jak odstawianie do lamusa mitu JP2. Swoją drogą, ciekawe, czy tegoroczna cisza nad trumną wynika z obawy przed drażnieniem młodych, dla których jest on już tylko postacią z memów, w czym duża zasługa dziennikarzy.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Niechwalący, byliśmy pionierami, pod światłym przywództwem Urbana. Za nami poszli inni. Przede wszystkim wspaniały Ekke Overbeek, z książką „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział”.

– Jak ktoś nie czytał, to koniecznie.

– Zdecydowanie. Warto też wspomnieć reportaż zatytułowany wymownie „Bielmo”, który równo rok temu pokazał TVN24. O tym, jakich pedofilów Wojtyła chronił. Reportaż mnie zachwycił, głównie dlatego, że nieco usprawiedliwiał Polskę Ludową. Zawsze byłam przekonana, że każdy ksiądz pedofil był równocześnie agentem bezpieki – albowiem towarzysze nie odpuszczali takiej okazji do werbunku – i myślałam sobie, że to jednak nieładnie.

– Bardzo się delikatna zrobiłaś i oględna w słowach.

– Nigdy nie krytykuję Polski Ludowej ostrymi słowy, zostawiam to ipeenowcom. Natomiast, choć nie lubię dzieci, uważam, iż pozwalanie na to, żeby dymali je starzy faceci w sukienkach, było cokolwiek niemoralne. I co więcej, myślałam też przez całe lata, iż władze PRL dokonały w tej sprawie błędnego wyboru. Może zamiast werbować po cichu trzeba było łapać zboków za dupę i wystawiać na widok publiczny? Może to przyczyniłoby się do moralnego otrzeźwienia społeczeństwa?

– I już tak nie sądzisz?

– No właśnie nie. Z historii trzech ulubionych pedofilów Wojtyły wynika, że sprawa była beznadziejna. Pierwszy z nich – Bolesław Saduś – był, zgodnie z oczekiwaniami, agentem bezpieki, ale dwóch pozostałych – Eugeniusz Surgent i Józef Loranc – na początku lat 70. trafiło za swoje swawole do peerelowskiego więzienia. Cała parafia wiedziała za co, ale w żaden sposób nie odbiło się na jej religijności. Chociaż zdawać by się mogło, że ksiądz, który na religii przykrywał siedmioletnie dziewczynki ortalionowym płaszczem i wsadzał im fiuta do ust, powinien wzbudzić u wiernych niejakie wątpliwości… A jednak Jeleśnia nie stała się żywieckim zagłębiem wolnomyślicielstwa. Co gorsza, kościelne zboki dostawały po 2–3 lata, wychodziły po roku i robiły to samo. Więc może dobrze, że chociaż resort miał z nich jakiś pożytek.

– Kościół kat. wykształcił u wiernych sposób myślenia, który nazywam „moralnością konsekrowanego penisa” i jeszcze dużo święconej wody upłynie, zanim owieczki wyzwolą swoje umysły i kieszenie od duppasterskiej władzy.

– „Duppasterstwo” – bardzo ładne.

– Dziękuję. Wracając do „Bielma”: chyba nie zapomniałaś, że katoprawica zawyła z oburzenia i rzuciła się do obrony JP2 z jeszcze większym zapałem, niż on bronił pedofilów. 9 marca 2023 r. PiS i PSL wypichciły, a sejm przegłosował skandaliczną „Uchwałę w sprawie obrony dobrego imienia św. Jana Pawła II”. Wyobrażasz sobie: dobrego imienia…

– To tak zwany „dogłębny język”, jak w bolszewickich dokumentach. Jak było napisane „pokojowa demonstracja”, to na pewno chodziło o zbrojne powstanie.

– I w tym dogłębnym języku 271 posłów uznało, że istnieje dobre imię świętego obrońcy pedofilów, a tylko 43 – że nie. Aż 142 tchórzliwie nie głosowało, w tym cała Koalicja Obywatelska. Ale czego się było spodziewać po tamtym sejmie… Mnie dużo bardziej oburzył wtedy list ponad 200 profesorów w obronie Jana Pawła II. Byli jak te małpy, co to nie widzą i nie słyszą, ale niestety dają głos. Słusznie uznali, że ukrycie prawdy o haniebnych działaniach papieża-Polaka jest jedyną drogą zachowania jego dobrego imienia, ale błędnie i przede wszystkim wbrew etyce, że należy ukrywać prawdę, skoro jest kompromitująca.

– To się nazywa „kultura tajności”.

– A powinno: „chamstwo tajności”. Mówiłam ci kiedyś, że byłam na pogrzebie JP2?

– Nie. A po cholerę?

– W delegacji sejmowej…

– Domyślam się, że nie poszłaś tam pieszo z pielgrzymim kosturem. Ale ponawiam pytanie: po cholerę?

– Bo to był pogrzeb głowy państwa watykańskiego. Jakby umarł prezydent USA, też bym chętnie pojechała… 216-osobowa sejmowa delegacja była zmontowana proporcjonalnie do liczebności klubów, a że SLD miał najwięcej posłów, to trafiło się nam najwięcej miejsc w strefie VIP.

– I jakie to były miejsca?

– Siedzące. To było najważniejsze, stać tyle godzin, to może człowieka szlag trafić. Do tej strefy można było wejść tylko z przepustką i ówczesna posłanka Platformy Zyta Gilowska wykazała się dużą troską o bliźnich, bo zbierała wśród klubowych kolegów przepustki i podawała je komuś, kto doprowadzał na te krzesła nieuprawnione osoby.

– Bardzo po chrześcijańsku...

– No nie wiem. Jezus ponoć przepędził kupców ze świątyni, ale afera się zrobiła z innego powodu: wielu posłów – wyjąwszy SLD-owskich – wzięło po 70 euro z Sejmu, niby że jadą w delegację, choć wikt i opierunek był opłacony przez kluby. Potem pletli, że oddadzą na biedne albo chore dzieci, ale nikt ich już nie sprawdzał. Napisałam z tej imprezy reportaż do „Faktów i mitów”, z którego do dziś jestem bardzo dumna. Na dwóch kolumnach ani razu nie użyłam słów „papież”, „pogrzeb” ani „Jan Paweł II”, a jednocześnie nikt nie miał wątpliwości, o czym piszę. Ktoś mi powiedział: „Napisałaś piękny reportaż z podmiotem domyślnym”. Teraz widzę, że to było prorocze. Niedługo JP2 stanie się podmiotem wręcz niewymownym, bo będzie wstyd wymieniać jego imię.

– Amen. I na koniec: przewidywania na wybory samorządowe?

– Chyba nie aż tak dobre, jak byśmy chcieli. PiS się okopuje w swoich matecznikach, więc trudno będzie uzbierać 15 sejmików dla koalicji 15 października. Wszystko zależy od niedzielnej mobilizacji elektoratów, a ta może być większa wśród zwolenników kaczyzmu, za którym już zaczynają tęsknić. Przypomina mi się, jak dziennikarz pyta wyborcę, czy pójdzie głosować, a ten odpowiada: „Jak będzie padało, to nie pójdę”. „A jak będzie ładnie?”. „To pójdę… na działkę”.

– Ja na plażę.

– Jak to?

– W sobotę jadę na tydzień do Jastrzębiej Góry. Dieta, masaże, nordic walking po plaży. Reset.

– Bardzo nieobywatelsko. Wstydź się.

– Wstydzę. Ale plaża wzywa.

– Obyś się nie okazała wolnością wiodącą lud od urn.

senyszyn@wp.pl,
wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 293

eprasa.pl b68685da26